

Papież
Posłannictwo
i misja

Gerhard
Ludwig
Müller

*Papież
Połannictwo
i misja*

Tytuł oryginału:
Der Papst. Sendung und Auftrag
© Gerhard Ludwig Müller

© Wydawnictwo WAM, 2017

Redakcja naukowa:
Ks. prof. dr hab. Krzysztof Góźdź
Ks. dr Sławomir Śledziewski

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek
Redakcja: Zofia Smęda
Korekta: Irena Gubernat, Grażyna Berger
Przygotowanie indeksu: Artur Czesak
Projekt okładki: Studio Graficzne Punkt Widzenia
Skład: Edycja

ISBN 978-83-277-1491-6

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk: Drukarnia WYDAWNICZA • Kraków

SANCTAE ROMANAE ECCLESIAE
MATRI ET ECCLESIARUM OMNIUM MAGISTRAE
NIHIL ALIUD VOLITANS
NISI QUOD IPSA
SUI RATIONE UNIVERSAE CHARITATIS PRIMATUS
PER SUUM SUPREMUM PASTOREM
DOCET AC VULT
FILIALI PERGRATO ANIMO
AUCTOR DEDICAT

Przedmowa

We współczesnym globalnym kryzysie etycznym, kulturowym i politycznym, jakiego dotąd nie znały dzieje świata, niczym w soczewce spotykają się w Rzymie, będącym centrum katolickiego Kościoła światowego, wszystkie nadzieje i lęki ludzkości.

Kościół nie zamyka na to oczu. Jest świadomy, że może być Kościołem Chrystusa tylko wtedy, gdy jest „Kościółem dla innych” (Dietrich Bonhoeffer).

Solidarną wspólnotę ludu Bożego z całą ludzkością Sobór Watykański II ujął w słynnych słowach: „Radość i nadzieja, smutek i trwoga ludzi współczesnych, zwłaszcza ubogich i wszystkich cierpiących, są też radością i nadzieją, smutkiem i trwogą uczniów Chrystusowych; i nie ma nic prawdziwie ludzkiego, co nie miałoby oddźwięku w ich sercu. Ich bowiem wspólnota składa się z ludzi, którzy zespoleni w Chrystusie prowadzeni są przez Ducha Świętego w swym pielgrzymowaniu do Królestwa Ojca, i przyjęli orędzie zbawienia, aby przedstawiać je wszystkim. Z tego powodu czuje się ona naprawdę ściśle złączona z rodzajem ludzkim i jego hierarchią” (KDK 1).

Odtąd wszyscy papieże w pełnieniu swojej zbawczej posługi, która została im powierzona przez Chrystusa, kierowali się ideą solidarności Kościoła katolickiego z całą ludzkością. Papież Franciszek jest pierwszym uniwersalnym pasterzem Kościoła, który wnosi do posługi Piotrowej mentalność i doświadczenie człowieka wywodzącego się z Ameryki Łacińskiej, a w ten sposób może dodać do zamierzeń soboru nowy wymiar jej urzeczywistniania.

W sposób nieunikniony Piotr, skała, staje się również kamieniem odrzuconym, ponieważ nauka musi być głoszona w porę i nie w porę (por. 2 Tm 4,2).

Papież jest również nośnikiem nadziei dla chrześcijaństwa i świata. Do niego bowiem odnoszą się słowa Syna Bożego:

Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego (Mt 16,18n).

Papież uznawany jest za najwyższy moralny autorytet przez wielu ludzi dobrej woli, również tych, którzy nie należą do wspólnoty chrześcijan. Stanowi zarówno znak ukierunkowujący człowieka na prawdę Bożą, jak również wskazujący mu jego niezbywalną godność oraz występujący na rzecz pokoju i sprawiedliwości społecznej rodziny ludzkiej.

W roku obchodów 500-lecia Reformacji (1517–2017), ale również smutku z powodu podziału zachodniego chrześcijaństwa, wielu chrześcijan, którzy nie są w pełnej jedności z następcą św. Piotra, tęskni za ekumeniczną postacią papieżstwa, abyśmy zmierzali ku widzialnej jedności Kościoła, jakiej chce jego boski Założyciel.

Aby móc wypełnić misję Chrystusa, Ojciec Święty potrzebuje kompetentnej i zaangażowanej, troskliwej współpracy kolegium kardynałów, którzy wspólnie z nim reprezentują Kościół rzymski, matkę i nauczycielkę wszystkich Kościołów. Ustanowione w czasach nowożytnych kongregacje kardynalskie Kurii Rzymskiej przedstawiają współczesną formę synodalnego udziału Kościoła rzymskiego w pełnieniu posługi Piotrowej, podobnie jak w starożytności reprezentowana była ona przez posiadające wysoką rangę dla Kościoła powszechnego rzymskie synody, a później przez kolegium kardynalskie jako całość.

Kongregacji Nauki Wiary przypada szczególna funkcja w sprawowaniu papieskiego urzędu nauczania. Ma ona udział w Urzędzie Nauczycielskim papieża i wspiera go we wszelkich kwestiach dotyczących nauki o wierze i moralności, jeśli działa ona zgodnie z powierzoną jej misją. Urząd Nauczycielski papieża stanowi podstawę

istnienia i istotę jego posłannictwa: Chrystus „w nim ustanowił trwałą i widzialną zasadę i fundament jedności i wspólnoty (*communio*)” (KK 18). Kongregacja Nauki Wiary składa się z 25 członków, w tym ojców, którymi są osobiście mianowani przez papieża kardynałowie i biskupi ze wszystkich części świata. Jej zadanie polega na tym, aby wspierać wiarę katolicką w całym Kościele oraz strzec ją przed uproszczeniami i zafałszowaniami. Kardynał-prefekt odpowiada za całą działalność Kongregacji bezpośrednio i osobiście przed papieżem, jako powołanym przez Chrystusa ojcem i nauczycielem Kościoła powszechnego.

Ze względu na znaczenie następcy św. Piotra dla Kościoła Bożego we współczesnym świecie jako teolog, biskup i prefekt najściślej związanej z Urzędem Nauczycielskim papieża rzymskiej kongregacji chciałbym zebrać w pewien całościowy obraz moje doświadczenia i obserwacje, ale także przemyślenia i uwagi na temat pochodzenia, istoty i posłannictwa następcy św. Piotra.

Świadomie unikałem tytułu „papiestwo”, aby podkreślić pierwszeństwo osoby przed instytucją. Zgodnie z wiarą katolicką Chrystus ustanowił skałę, na której zbuduje swój Kościół, prostego rybaka z jeziora Genezalet, mianowicie Szymona, syna Jony, będącego pierwszym z długiego szeregu swoich następców. Posługa Piotra pozostaje niezmienna, chociaż ludzie, którzy ją podejmują, z biegiem czasu kolejno się zmieniają. Jednak Chrystus, Głowa Kościoła, aż do końca świata sam ustanawia biskupa Rzymu, któremu powierza misję Piotra. Osoby się zmieniają, ale pozostaje ta sama misja. Podstawowa misja papieża polega na służbie jedności i wspólnocie Kościoła z Bogiem oraz na świadczeniu swoim życiem i umieraniem o prawdziwości wiary w „Chrystusa, Syna Boga żywego” (Mt 16,16). Ze wszystkimi pasterzami Kościoła Piotr jest „świadkiem Chrystusowych cierpień oraz uczestnikiem tej chwały, która ma się objawić” (1 P 5,1). Papież nie piastuje urzędu politycznego, w którym chodzi o władzę w świecie albo o uznanie wśród ludzi. Jego miarą i wzorem jest „dobry pasterz, który oddaje życie za swoje owce” (J 10,11). I tym dobrym pasterzem jest sam Jezus, który mówi do Piotra, trzykrotnie potwierdzając jego posłannictwo: „Paś owce MOJE!” (J 21,15).

Papież i kardynałowie, którzy bratersko stoją u jego boku w kierowaniu Kościołem powszechnym, a także wszyscy pasterze Kościoła powinni dać się porwać apostołskiemu zapałowi św. Pawła, który wraz z Piotrem tworzy fundament Kościoła Rzymu. Apostoł Narodów w takich słowach podsumowuje duchowość i etos „współpracowników Boga” (2 Kor 6,1): „Nie dając nikomu sposobności do zgorszenia, aby nie wyszydzono posługi, okazujemy się sługami Boga przez wszystko: przez wielką cierpliwość, wśród utrapień, przeciwności i ucisków, [...] w trudach [...] przez wielkoduszność i łagodność, przez [objawy] Ducha Świętego i miłość nieobłudną, przez głoszenie prawdy i moc Bożą, przez oręż sprawiedliwości zaczepny i obronny, wśród czci i pohańbienia, przez dobrą sławę i zniesławienie” (2 Kor 6,3–8).

Rzym, w święto Katedry Świętego Piotra 2017

Gerhard kardynał Müller
Prefekt Kongregacji Nauki Wiary

Papieże historii mojego życia

1. Powstawanie moich przekonań religijnych

Mój stosunek do papieża w Rzymie był pozytywny od samego początku mojej wiary w Jezusa Chrystusa i bycia w Kościele, zanim jeszcze mogłem studiować naukowo podstawy biblijne, świadectwa Tradycji, definicje Magisterium Kościoła, kontrowersje wokół papieża z Kościołami prawosławnymi i reformatorskim protestantyzmem, jak również wyzwania modernizmu i postmodernizmu. To nie abstrakcje i teorie, ale żyjące osoby i świadkowie wiary odegrali fundamentalną rolę w mojej relacji do Kościoła katolickiego, a wraz z tym i do papieża, i przez nich kształtowane były moje wyobrażenia.

Credere znaczy „wierzyć” nie tylko w sensie posiadania opinii w takiej czy innej istotnej kwestii. Wierzyć w sensie teologicznym określa relację do Boga, który zwraca się do mnie osobiście w słowie swojego Objawienia. *Credere* pochodzi od *cor dare*. Wierzyć w Boga oznacza dać własne serce Temu, który otworzył dla mnie swoje serce. Wierzyć oznacza dla mnie, że w życiu i w śmierci całą moją nadzieję pokładam w Bogu, Ojcu Jezusa Chrystusa. Ogarnia mnie wzruszenie, kiedy się modłę: „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy” (Ps 23,1.6).

Nie istnieje wiara w Boga bez miłowania Go ponad wszelkie stworzenie i bez miłości bliźniego jak siebie samego. On bowiem stworzył

mnie, moich kochanych przyjaciół i wszystkich szacownych ludzi na swój obraz i podobieństwo (Rdz 1,28). Wiara nie jest jedynie intelektualnym poglądem w kwestiach religii i Kościoła. Ma ona znaczenie zbawcze tylko wtedy, kiedy oddziałuje w miłości i kiedy wszelki smutek czasu pogrąży się w radosnej wieczności (Ga 5,6).

Bóg wyzwala i uświęca człowieka. Wynosi go do stanu działającej zbawczo łaski. Daje mu udział w swoim istnieniu i życiu oraz wypełnia go swoją dobrocią i prawdą. Bóg czyni nas swoimi synami i córkami. To dziecięstwo Boże zostaje nam ofiarowane przez łaskę i dającą usprawiedliwienie wiarę w nadziei i miłości (*fides caritate formata*).

Wiara przynależy do innej kategorii niż wiedza i sprawy tego świata. Jest czymś niewspółmiernie większym niż udział w serwisach społecznościowych czy medialnych, a w związku z tym nie należy jej w żadnym razie umniejszać jako niepełnej formy wiedzy i informacji. W myśl jednego ze sformułowań Dietricha Bonhoeffera (1906–1945) Bóg nie jest w żadnym razie hipotezą roboczą ani surogatem dla jeszcze niewyjaśnionych pytań nauk przyrodniczych¹. Jednakże wiara, która realizuje się poprzez rozum i przy aprobacie wolnej woli w mocy Ducha Świętego, stanowi najwyższą formę poznania w warunkach naszego ziemskiego istnienia, którą może przewyższać tylko „ogłądanie Boga twarzą w twarz” (1 Kor 13,12) w wieczności. W wierze dochodzi do skutku i spełnia się relacja stworzonej osoby i wspólnoty ludzi do trójjedynego Boga. W tym dokonuje się akt zbawczy, ponieważ nie chodzi w nim o wgląd w jakiś stan rzeczy, ale o uczestnictwo w wewnętrznej wiedzy Boga zawartej w słowie i jego relacji do siebie samego jako miłości w *koinonii* Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Treści wiary oznaczają zatem poznanie i przyjęcie Jego zbawczej woli za pośrednictwem Jego zbawczego działania w dziejach. W wierze w Boga uczeń Chrystusa formalnie wyraża swoją ufność w prawdziwość Boga (*veracitas Dei*). Znalazł się on w takiej sytuacji dzięki świadectwu Boga, który mówi do nas przez Jezusa Chrystusa, *verbum incarnatum*, odwieczne SŁOWO Ojca, które przyjęło nasze

¹ Dietrich BONHOEFFER, *Widerstand und Ergebung. Briefe aus dem Gefängnis*, s. 415.

ciało z Maryi Dziewicy. Syn Boży jest zatem nie tylko naszym Panem, ale także naszym Bratem, ponieważ stał się równy nam, ludziom (Hbr 2,14). Świadcstwo Jezusa o Ojcu przekazane nam zostaje w poszczególnych artykułach wyznania wiary Kościoła².

„Ja” mojej osobistej wiary w Boga zostaje przez Kościół niczym matkę poczęte, noszone, zrodzone i karmione. „Wierzę w Boga” zostaje przyjęte i objęte przez „Wierzymy w Boga”. Zostaje uwolniony z męczarni odosobnienia mojego *ego* i wyniesiony do chwały dzieci Bożych w Kościele, rodzinnej wspólnocie wierzących. Kościół nie staje naprzeciw mnie jako instytucja. Raczej należę do niego niczym jeden z członków ciała, który tworzy wraz ze swoją Głową jedność i wspólnotę życia. Kościół jest wobec Boga Dziewicą – *Virgo*, która poczęła w wierze Słowo, zaś względem nas Matką – *Mater*, która w wierze obdarza nas boskim życiem.

Kościół nigdy nie oznaczał dla mnie anonimowej instytucji, tak nieosiągalnej, jak sprawiedliwość w *Zamku* Kafki. W osobach poszczególnych papieży, poczynając od mojego dzieciństwa aż do mojej obecnej posługi jako prefekta rzymskiej Kongregacji Nauki Wiary, papieństwo miało zawsze ludzkie oblicze, które reprezentuje to ustanowienie Chrystusa.

Urząd papieski nie jest uprzedmiotowioną, bezosobową instytucją, ale następstwem osób, które urzeczywistniają swoją misję powierzoną im osobiście przez wywyższonego Pana. Każdy papież jako następca św. Piotra ma swoje imię, pod którym występuje przed nami we właściwej sobie indywidualności. Osoba wyprzedza instytucję i czyni misję Piotra trwałą, a jego posłannictwo zrozumiałym i realnym. Chrześcijaństwo nie jest sumą dogmatycznych aksjomatów i zasad moralnych, które niczym ciężki plecak musiałbym mozolnie taszczyć ze sobą przez życie. Dzięki personalnej wierze i wspólnej drodze Kościoła jego zawartość jest lekka, możliwa do uniesienia i znośna. A wiem także, że tym, co niosę i co mnie niesie, jest sam Chrystus. On jest wodą żywą (J 4,10–14), która mnie orzeźwia, i chlebem, który mnie umacnia i utrzymuje przy życiu (J 6,48).

² TOMASZ Z AKWINU, *De ver.*, 14,8.

Bycie chrześcijaninem urzeczywistnia się w naśladowaniu Chrystusa, którego jarzmo jest słodkie, a ciężar lekki (Mt 11,30), ponieważ wszystko niesie się w miłości do Niego. A zatem poprzez wspólnotę tych, którzy z Nim idą, otrzymuje się pomoc i motywację. Kościół istnieje w osobach, w ich relacji do Chrystusa, zarówno we współchrześcijanach, jak też specyficznie w posłańcach Jezusa i świadkach Ewangelii, apostołach, biskupach i kapłanach, „aż po krańce ziemi” (Dz 1,8; Mt 28,20).

To dlatego swoje rozważania rozpocznę od spojrzenia na postacie siedmiu papieży piastujących swój urząd na przestrzeni mojego dotychczasowego życia. W ten sposób chciałbym przedstawić moje przekonania religijne i moje zakorzenienie w wierze katolickiej w odniesieniu do Boga, Chrystusa i Kościoła.

2. Moje katolickie dzieciństwo i młodość

Pius XII (1939–1958)

Kiedy w dniu wspomnienia św. papieża Sylwestra (314–335) w 1947 roku ujrzałem światło świata, papież Pius XII miał już za sobą wojnę, włoski faszyzm i panowanie nazistów. Teraz musiał zmierzyć się z ateizmem na Wschodzie, będącym ogromnym zagrożeniem dla chrześcijaństwa, i rosnącym w siłę sekularyzmem na Zachodzie. Na początku mojej edukacji szkolnej i podczas przygotowania do Pierwszej Komunii Świętej usłyszeliśmy, kim jest papież, a przede wszystkim, że my, katolicy chrześcijanie, otaczamy go szacunkiem jako następcę Księcia Apostołów, czyli Piotra, a tym samym jako namiestnika Chrystusa na ziemi. Papież w swojej osobie jest ucieleśnieniem jedności pielgrzymującego Kościoła na ziemi.

Pewnego dnia, a było to 9 października 1958 roku, do mojego pokoju wpadła ogromnie poruszona Antonia, moja siostra (1940–2010) – jako abiturientka dla mnie, 10-letniego gimnazjalisty, najwyższy autorytet naukowy – i zawołała: „Czy już wiesz, co się stało? Papież umarł”.

W tym momencie byłem raczej poruszony myślą, że papież jest teraz w niebie u Chrystusa. Pojęcie „papież” związane było z Bogiem, Chrystusem i Kościołem. Słowo „umierać” w moim wyobrażeniu miało coś wspólnego z niebem. Po śmierci nasza dusza udaje się do Boga i potem mamy nadzieję na zmartwychwstanie ciała do życia wiecznego, a wszyscy zmarli – na Sąd Ostateczny. Dla dziecięcej wyobraźni urząd jest niemalże identyczny z osobą, która go piastuje. Pius XII był dla nas po prostu papieżem, następcą św. Piotra, najwyższym autorytetem we wszelkich kwestiach wiary, podobnie jak był nim dla mnie wówczas Albert Stohr (1890–1961), biskup Moguncji, czy ks. Philipp Heinrich Lambert (1896–1960), nasz proboszcz; nie potrafiliśmy sobie wyobrazić innego. Mój pierwszy proboszcz z rodzinnej parafii uznawany był za wcielenie gorliwego kapłana, całym sercem oddanego chorym i ubogim, a po 1945 roku także niemieckim jeńcom wojennym przebywającym w obozach rozlokowanych wokół Moguncji. W swojej do głębi religijnej postawie i nastawieniu społecznym przedstawiał dla mnie pierwsze zapadające w pamięć wyobrażenie „pasterza dusz”.

Pius XII jest papieżem mojego dzieciństwa i stanowi po prostu uosobienie i miarę katolickości.

Jako dziecku katolickich rodziców dana mi była łaska wchodzenia w życie przeniknięte wiarą w Boga, początek i cel życia, którą mogłem wewnętrznie czynić coraz bardziej moją. Wiara nie pochodzi z jakiegoś wewnętrznego, subiektywnego przeżycia, które potem chciałoby znaleźć swój wtórny wyraz, jak to próbuje nam wmówić racjonalistyczna filozofia religii. Raczej „rodzi się z tego, co się słyszy, tym zaś, co się słyszy, jest słowo Chrystusa” (Rz 10,17), które zostało powierzone apostołom i całemu Kościołowi do przepowiadania. Wiara pochodzi z zewnątrz, ze słuchania i uczenia się, z współ-życia ze wspólnotą wierzących w rodzinie, przedszkolu i grupie młodzieżowej, we wspólnocie parafialnej, klasie szkolnej i ogólnie w Kościele. W modlitwie i śpiewie młody duch zestraja się w oddawaniu Bogu czci, a czytając historie biblijne, doświadcza bezpośredniej bliskości Jezusa, Jego Matki, Maryi, i apostołów. W katechizmie zaś dziecięcy duch znajduje pokarm i zdobywa jasne wyobrażenia o Bogu, Chrystusie i Kościele.

Niejako oswajałem się z wiarą w Chrystusa. Mojego rozwoju wewnętrznego i mojego życia duchowo-moralnego nie można zrozumieć bez wiary w Boga i miłości do Chrystusowego Kościoła. Obiektywna Tradycja Kościoła, tak jak została ona spisana w Piśmie Świętym, w wyznaniach wiary, w uroczystej liturgii i rozstrzygnięciach dogmatycznych, jest tym, czego się uczymy, o czym może i powinien być przecież poinformowany także wykształcony niechrześcijanin.

W jaki sposób jednak treści wiary Kościoła docierają do ducha i rozumu osoby, tak że młody człowiek albo dorosły katechumen usłyszane z zewnątrz ludzkie słowo może sobie przyswoić w taki sposób, że słyszy w nim słowo Boga, zaś samego Chrystusa rozpoznaje i uznaje za swojego wewnętrznego nauczyciela. „Apostołowie Paweł, Sylwan i Tymoteusz” zwracają się do wspólnoty w Tesalonikach i tak poświadczają wspólne oddziaływanie łaski Bożej i kościelnego przepowiadania: „Dlatego nieustannie dziękujemy Bogu, bo gdy przyjęliście słowo Boże, usłyszane od nas, przyjęliście je nie jako słowo ludzkie, ale – jak jest naprawdę – jako słowo Boga, który działa w was wierzących” (1 Tes 2,13).

Zewnętrzna i obiektywna Tradycja Kościoła musi stać się Tradycją wewnętrzną i subiektywną, jakby tryskającym źródłem, z którego chrześcijańska osobowość czerpie „wodę życia wiecznego” (J 4,14). Bóg przekazuje swoje słowo za pośrednictwem Kościoła, abyśmy dzięki cnotom wlanym w nas przez Ducha Świętego: wierze, nadziei i miłości, wkroczyli w bezpośrednią relację do Boga. Bezpośredniość ta nie powoduje zdystansowania się od włączenia do wspólnoty zbawczej, w przeciwieństwie do satelity, który osiągnąwszy właściwą orbitę, odrzuca swój napęd raketowy.

Bezpośredniość względem Boga dokonuje się zawsze za pośrednictwem człowieczeństwa Chrystusa i eklezjalno-sakramentalnego kształtu wspólnoty Chrystusa. Personalna bezpośredniość w stosunku do Boga i eklezjalno-sakramentalne pośrednictwo należą do siebie ze względu na bosko-ludzką jedność Chrystusa, Objawiciela i Pośrednika zbawienia. Odpowiada to naszej cielesnej naturze i naszej kondycji jako istoty społecznej, które domagają się kościelnego pośrednictwa dla Objawienia. Tylko tak jestem w stanie wejść w personalną

relację z Bogiem, zarówno w Jego skierowanym do mnie słowie, jak również w Jego zbawczym działaniu dla mnie.

Znamienity teolog z Tybingi, Johann Adam Möhler (1796–1838), obustronną relację obiektywnej i subiektywnej Tradycji, zewnętrzno-eklezyjalnego pośrednictwa i wewnętrzno-chrystologicznej bezpośredniości Boga ujął w następujących słowach: „Czym jest Tradycja? Charakterystyczny zmysł chrześcijański, istniejący w Kościele i rozszerzający się poprzez kościelne wychowanie, który jest jednak niewyobrażalny bez swojej zawartości, który raczej ukształtował się dzięki swojej zawartości, tak że można go nazwać spełnionym zmysłem. Tradycja jest ustawicznie w sercach wierzących żyjącym słowem. Temu zmysłowi, jako zmysłowi ogółu, powierzona została wykładnia Pisma Świętego”³.

Chrześcijańskie wychowanie osiąga swój cel, jeśli budzi w członkach Kościoła *supernaturalis sensus fidei fidelium* – nadprzyrodzony zmysł wiary (por. KDK 12). Wyczucie (*sentire cum ecclesia*) dla wewnętrznego związku Boga i Kościoła, Chrystusa jako Głowy i Ciała, rzeczywistej skuteczności łaski w ustanowionych przez Chrystusa świętych znakach tworzy tożsamość katolickich wiernych.

Przez swoją miłość i ofiarę życia na krzyżu Chrystus nabył dla siebie Kościół jako własne ciało, które On kocha, a nie nienawidzi, ale je pielęgnuje i karmi, aby oczyścić i uświęcić je „obmyciem wodą, któremu towarzyszy słowo” (Ef 5,26). Personalna bezpośredniość Boga, który mnie „poznał i przeznaczył na to, bym się stał na wzór obrazu Jego Syna” (Rz 8,29), a także sakramentalne pośrednictwo zbawienia przez Kościół (por. Mt 28,19) i życie razem z nim wskazują na to, co jest specyficznie katolickie. Kiedy w czasach mojej młodości w kazaniach często cytowano słowa św. Cypriana z Kartaginy (ok. 200–258), od razu rozumiała dla mnie była nierozdzielność odwołania się do Boga i wspólnoty Kościoła: „Nie może mieć Boga za Ojca ten, kto nie ma Kościoła za matkę”⁴.

³ JOHANN ADAM MÖHLER, *Symbolik, oder Darstellung der dogmatischen Gegensätze des Katholiken und Protestanten nach ihren öffentlichen Bekenntnisschriften* (1832), red. J. R. Geiselman, Köln 1958, §38.

⁴ CYPRIAN Z KARTAGINY, *eccl. unit.* 6.

Kiedy przez chrzest przyjąłem dziecięstwo Boże i zostałem włączony do Kościoła – Ciała Chrystusa, a jako dziewięcioletek przeprowadzony zostałem na spotkanie z Chrystusem w sakramentach pokuty (spowiedzi) i Pierwszej Komunii Świętej, moi rodzice i duszpasterze wtedy, a później ja sam w dojrzałej świadomości pojmowałem to nie jako tylko obrzędy uspołeczniające. Wielki północnoafrykański pisarz kościelny Tertulian (ok. 160–220 r. po Chr.) tak o tym pisał: „Chrystus nazwał siebie Prawdą, a nie przyzwyczajeniem”⁵. Doświadczyłem wewnętrznego spotkania z Jezusem, którego kocham i który niósł moją osobę do włączenia w boskie życie Ojca, Syna i Ducha Świętego. Jest to relacja stworzenia i dziecka Bożego do Boga, zamieszkiwanie Trójcy Świętej w duszy, w myśl słów Jezusa: „Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i będziemy u niego przebywać” (J 14,23). Ponieważ wiara nie została mi indoktrynowana przez autorytet rodzicielski i w sposób sterowany z zewnątrz, ale łagodnie zasiana w moim sercu, dlatego nie czułem zagrożenia dla mojej wolności. Gdzie „zostało posiane i podlane, ale wzrost został pozostawiony Bogu” (por. 1 Kor 3,6n), tam nie powstaje żadne rozdwojenie pomiędzy autorytetem a wolnością, o które wielu już się rozbiło. Później, już jako nauczyciel religii i kaznodzieja, byłem często pytany o to, co sam na ten temat myślę. „To oczywiście” – mówiono. „Zna ksiądz naukę Kościoła i oficjalnie musi ją reprezentować, ale co myśli ksiądz osobiście”, tak brzmiały pytania stawiane na forum niepublicznym. „Jeśli się wierzy, że Boże Objawienie i Jego historia z nami, ludźmi, przechowywana jest w całej pełni w wyznaniu wiary Kościoła i że nie istnieje prywatna, sekretna droga do Boga wiodąca obok Chrystusa i Kościoła, to jak mogę wierzyć inaczej, niż wierzy Kościół, nie stawiając siebie przy tym ponad Bogiem” – taka była zawsze moja odpowiedź.

Już we wczesnym dzieciństwie moja matka budziła we mnie miłość do Jezusa. Nie pozostała ona tylko na poziomie sentymentalnym i nie oddziaływała infantylnie. Miłość zapaliła w moim wewnętrznym oku światło, które promieniowało przez całe moje życie.

⁵ TERTULIAN, *virg. vel.* I, 1.

„Jezu, w Tobie ja żyję, w Tobie umieram, Jezu Twój jestem w życiu i przy śmierci” (por. Rz 14,8) było moją pierwszą modlitwą. Co wieczór ja i mój brat Günter modliliśmy się w ten sposób przed pójściem spać. Krzyż z przybitym do niego Jezusem, który wisiał nad łóżkiem, był widzialnym dowodem, że Jezus naprawdę oddał swoje życie – dla mnie i dla nas, *pro me et pro nobis*. Myśl, że jestem stworzeniem i dzieckiem Bożym powołanym do życia wiecznego, wypełnia po dziś dzień moje serce i umysł ciągle na nowo zdumieniem i podziwem – tak można by powiedzieć, parafrazując Kanta. Tym, co zostało nam przekazane, była pewność, że Bóg dobrze nam życzy i prowadzi na końcu wszystko ku dobremu (por. Rz 8,28). „Z Bogiem zaczynaj, z Bogiem kończ, to jest najpiękniejszy życia tok” – tak brzmiała inna modlitwa, która wyraża pierwotne, dziecięce zaufanie do Boga.

Częścią modlitwy był także codzienny rachunek sumienia odprawiany wieczorem przed zaśnięciem. Uświadomienie sobie, że względu na wolną wolę, odpowiedzialności za moje czyny było najlepszym przygotowaniem do późniejszej sakramentalnej pokuty, którą wtedy nazywano po prostu spowiedzią. Jak wiadomo, dokonuje się ona w trzech etapach. Są to: serdeczny żal, ustne, wyraźne wyznanie grzechów i zadośćuczynienie w dobrych dziełach, po których następuje Boże przebaczenie w absencji. Dobry rachunek sumienia nie prowadzi do lęku i strachu przed osądzającym i surowym Bogiem. Ponieważ Bóg w swoim sądzie jest przebaczącym Ojcem, odwołanie się do sądu osobistego nad każdym po śmierci i do Sądu Ostatecznego nad całą ludzkością na końcu czasów prowadzi raczej do przerażenia sobą samym, że wskutek przekraczania przykazań Bożych albo braku dobrych uczynków sam oddzieliłem się od miłości Boga ponad wszystko i miłości bliźniego jak siebie samego. „W miłości nie ma lęku, lecz doskonała miłość usuwa lęk, ponieważ lęk kojarzy się z karą. Ten zaś, kto się lęka, nie wydoskonalił się w miłości” (1 J 4,18).

W spowiedzi przyglądam się samemu sobie jak w zwierciadle i poddaję się osądowi Bożej miłości. Tylko wtedy, kiedy wypieram się moich grzechów, aby samemu się usprawiedliwić, moje sumienie staje się „męką i piekłem”. Tylko nieodpokutowany grzech, którego

chcę się wyprzeć przez samousprawiedliwienie, powoduje nienawiść do Boga i pogardę dla Jego Kościoła. Kiedy w pokorze wyznaję moje grzechy i żałuję za nie, miłosierdzie Boże staje się zaproszeniem dla marnotrawnego syna, aby powrócił do domu Ojca (por. Łk 15,11–32). Duchowo i psychologicznie ważne jest w wychowaniu religijnym staranne rozróżnianie pomiędzy grzechami codziennymi albo lekkimi a grzechami ciężkimi, które prowadzą do „duchowej śmierci duszy” (por. 1 J 5,16). Skrupuły i brak wiary w siebie są brakiem miłości i ufności do Boga, który zawsze jest Bogiem miłości przebaczącej, a nie Bogiem zemsty prowadzącej do lęku i ucieczki przed Nim.

Nie patrząc na siebie, ale spoglądając na Boga i Jego przychyłność dla mnie w Jezusie Chrystusie, mogę być pewny Jego przebaczenia i łaski, tego, że jestem uwolniony od grzechu i mogę z radosnym sumieniem uwielbiać Boga i służyć ludziom. „Kto zawsze wierzy, może być pewnym wszechmocy i miłosierdzia Boga”⁶. Motywem wiary jest łaskawy Bóg, który czyni z nas – nieprzyjaciół i niewolników – prawdę przyjaciół i synów Boga (Rz 5,10; 6,20; 8,14). „Tak i wy rozumieście, że umarliście dla grzechu, żyjecie zaś dla Boga w Chrystusie Jezusie” (Rz 6,11).

Możliwe, że antyczni pogańscy pisarze (Lukrecjusz, Epikur), ateistyczno-racjonalistyczni krytycy religii z XVIII i XIX wieku, a także psycholodzy głębi (Freud) – wszyscy oni religię i wiarę w bożków próbowali wywodzić z lęku tak zwanych prymitywnych ludzi przed siłami przyrody albo z nieprzetworzonych emocji. Wiara w Boga miłości objawionej w Jezusie Chrystusie ani według moich wspomnień ze wczesnego dzieciństwa, ani uczonej refleksji nie ma swoich początków w duchowych stanach czy dynamikach. Analogia do ludzkich emocji nie wynika z odniesienia do sił natury i zrzędzeń losu doczesnej egzystencji, lecz pochodzi z dziecięcego zaufania do Ojca, któremu zawdzięczamy powstanie i wspieranie naszego życia, a zatem do rodziców, przodków oraz braci i siostr w rodzinie Bożej. Jako Kościół pielgrzymujący idzimy poprzez dzieje drogą Chrystusa aż do końca czasów, kiedy „Miasto Święte – Jeruzalem Nowe zstąpi z nieba

⁶ TOMASZ Z AKWINU, *S.th.* I–I q. 18 a. 4 ad 2.

od Boga, przystrojone jak oblubienica zdobna w klejnoty dla swego męża i zobaczymy przybytek Boga z ludźmi” (Ap 21,2nn).

Wobec reprezentowanego przez psychologię religii wyprowadzania chrześcijaństwa ze wstrząsającego doświadczenia przypadkowości wszystkiego, co ziemskie, z bólu przeznaczenia ku śmierci albo ze strachu przed niemożliwymi do opanowania za pomocą techniki siłami przyrody i ślepych zrzędzeniami losu, pomagają tylko słowa pocieszenia i obietnice Boga: „Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli, by się znowu pogрузić w bojaźni, ale otrzymaliście ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać: «Abba, Ojcze!»” (Rz 8,15).

Ojcem naszej wiary nie jest życzenie, a matką iluzja. Nie jest ona jakąś abstrakcyjną ideą albo ideałem stworzonym przez czysty, jednak nie oparty na doświadczeniu rozum, ale ma realny fundament: zbawcze działanie Boga pośrodku świata i historii. „Lecz ja wiem, że Odkupiciel mój żyje” – wyznaje cierpiący sprawiedliwy człowiek (Hi 19,25). Kto, jak nie Jezus wziął na siebie za mnie boleści, kto ma rację i czyni mnie sprawiedliwym, komu mogę siebie zawierzyć w życiu i w śmierci? Ktokolwiek później w imię samooswieconego rozumu filozofii salonowej, ze ślełą wiarą w postęp i na pozór obiektywną naukowością chciał mnie kiedykolwiek przekonać o duchowej niższości chrześcijaństwa albo o jego „średniowiecznej ciasnocie”, używając formuł polemicznych, które nie są żadnymi argumentami, jak dotąd zawsze doznawał porażki wobec mojego pierwotnego doświadczenia Boga jako miłości.

Za wysoką i pustą w środku fasadą wolnomyślicielstwa znajduje się zbyt wiele pychy i cynizmu, aby można wśród jego zwolenników uzyskać prawdziwego przyjaciela. Dobry przyjaciel życzy mi tylko dobrze i nie chce mnie pozyskać jedynie jako kompana popierającego jego własny światopogląd. Jeśli istniałoby tylko to krótkie życie i jego sens polegałby tylko na przyjemnościach, to w imię czego powinienem je poświęcić, jak nie w imię Tego, który dał nam życie w obfitości i mówi do nas: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13). Po dziś dzień nie pojawił się bowiem żaden prominentny przedstawiciel staropogańskich albo współczesnych antychrześcijańskich ideologii, który naraziłby swoje życie dla mojego i miałby chociaż odrobinę mocy, aby teraz i na

zawsze pokonać moją skończoność i moją śmierć oraz przemijalność wszystkich, których kocham. Bóg, który z miłości do nas wydał za nas swojego jedyne Syna i którego kochamy ponad wszystko, był i jest najprawdziwszą rzeczywistością w świecie i ponad nim. Bóg, od którego pochodzimy i który jest naszym celem, to wszczepiona w serce i rozum pewność dająca oparcie i ukazująca sens życia.

Wspominając powolne dojrzewanie mojej świadomości religijnej i jej coraz głębsze zakorzenienie w tajemnicy Chrystusa, mogę wymienić to, co zawdzięczam łasce Bożej, a nie tylko szczęśliwym okolicznościom. Wiem nie tylko, w c o wierzę, ale o wiele bardziej wiem, k o m u wierzę. Święty Paweł, ustanowiony przez Chrystusa „głoscielem, apostołem i nauczycielem Ewangelii”, tak przedstawia przeciwności swojej misji: „Z tej właśnie przyczyny znoszę i to obecne cierpienie, ale za ujmę sobie tego nie poczytuję, bo wiem, komu uwierzyłem, i pewien jestem, że mocen jest ustrzec mój depozyt aż do owego dnia” (2 Tm 1,12). To zaś, co zlecił swojemu uczniowi i następcy w posłudze apostołskiej, spoglądając na moje wprowadzenie do chrześcijaństwa przez moich nauczycieli i duszpasterzy, uważam, że zostało i do mnie powiedziane: „Zdrowe zasady, któreś posłyszał ode mnie, miej za wzorzec w wierze i miłości w Chrystusie Jezusie! Dobrego depozytu strzeż z pomocą Ducha Świętego, który w nas mieszka” (2 Tm 1,13n).

W adoracji Pana w Najświętszym Sakramencie i w przepychu uroczystej procesji Bożego Ciała serce ogarnia takie doświadczenie prawdziwej obecności Chrystusa, że opiera się na nim wszelkie zaufanie do Boga i ciągle na nowo zapala się w nas miłość do Boga i bliźniego. Ta bliskość Boga daje życiu oparcie i pozwala, by w sercu rozbrzmiewało ciągle na nowo wielkanocne *Alleluja*. Jest to przeświadczenie, że Jezus nie był tylko znaczącym człowiekiem, który żył 2000 lat temu i umarł, o którym przypominamy sobie jako postaci historycznej, aby umacniać się Jego przykładem; „raczej żyje na wieki w swoim Kościele i wyjaśnia to w sposób zmysłowy, pojmowalny dla zmysłowego człowieka, w Sakramencie Ołtarza. Jest On w przepowiadaniu swojego słowa stałym nauczycielem; w chrzcie bezustannie przyjmuje do swojej wspólnoty, w sakramentalnej pokucie przebacza

skruszonym grzesznikom, w wieku dojrzewania mocą swojego Ducha Świętego umacnia w bierzmowaniu, inspiruje nowożeńców wyższym wyobrażeniem relacji małżeńskich, jednoczy się z wszystkimi, którzy wzdychają ku życiu wiecznemu, najściślej pod postaciami chleba i wina, pociesza umierających w namaszczeniu i powołuje w sakramencie święceń urzędy, poprzez które sprawia to wszystko w nieznużonym działaniu”⁷.

Nawet wiara dziecka nie jest bezrozumna. To, co nierozsądne, nie może nigdy z biegiem czasu stać się rozsądne. Jak daleko sięgam pamięcią, zawsze miałem wycucie dla rodzajowo różnej prawdziwości dziejów biblijnych i treści wiary z jednej strony, a bajek, legend i powieści przygodowych z drugiej, które co prawda mocno angażowały dziecięcą fantazję, ale do których zawsze dodawano, że są jednak tylko bajkami, a przez to nie mogą być prawdziwe. Jednak to, co rozsądne, zawsze może być bardziej zrozumiałe. „Chłopiec zaś rósł i wzmacniał się duchem” (Łk 1,80) – mówiono o św. Janie Chrzcicielu. Tym, co robiło na nas jako dzieciach zawsze duże wrażenie, było to, że o Jezusie dorastającym w swojej rodzinie w Nazarecie mówiono: „Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napelniając się mądrością, a łaska Boża spoczywała na Nim” (Łk 2,40). Jeśli w mojej wierze i życiu pojawiały się trudności natury intelektualnej i egzystencjalnej, moją zasadą było nie szukać przyczyn tego faktu w Bożym Objawieniu albo w nauce Kościoła, ale w mojej niedostatecznej wiedzy, co można było pokonać przez pogłębione studium i intensywniejszą modlitwę o lepsze zrozumienie. Bowiem to właśnie osoba, dzięki pomocy wychodzącej jej naprzeciw łaski, przez jej rozum i wolną wolę odnosi się do osobowego Boga; i tylko przez wiarę rozum osiąga swój cel, a mianowicie poznanie prawdy, którą jest osobowy Bóg. Objawienie prowadzi do prawdy, ponieważ Bóg pozwala się poznać w swoim Słowie i Duchu jako Prawda. Prawdą wiary nie jest zatem osiągnięte przeze mnie zrozumienie struktur stworzonych materialnych i idealnych stanów rzeczy, ale poznanie miłości, która panuje w relacjach między osobami. Prawda wiary nie jest relacją

⁷ JOHANN ADAM MÖHLER, *Symbolik*, §34.

przedmiotową, ale relacją osobową, a przez to nieskończenie przewyższa wiedzę o rzeczach.

Również rozumowe zarzuty filozofii materialistycznej i ateistycznej, które zaprzeczają istnieniu Boga albo – jak chociażby w Kantowskim krytycyzmie – twierdzą agnostycznie o braku dowodów na istnienie Boga, nie mogą zachwiać moją wiarą w żyjącego, osobowego Boga i zakwestionować racjonalnego uzasadniania istnienia Boga. Argumenty te ostatecznie i zasadniczo nie mogą bowiem podkopać założeń rozumowego przekonania o istnieniu Boga i szerokiej relacyjności wszelkiego bytu do NIEGO. Walczący ateści sięgają po łatwe rozwiązania, kiedy odmawiają wierzącym krytycznego rozumu. Rzecz jasna nie ma powrotu do Ptolemeuszowego obrazu świata, jednak tutaj chodzi o przekonania empiryczne. Nie był on nigdy przedmiotem wiary w Boga Stwórcę. Również przestarzałe, ale i nowoczesne obrazy świata zaczerpnięte ze zdroworozsądkowych nauk przyrodniczych nie mają nic wspólnego z samoobjawieniem się Boga jako Zbawienia i Prawdy człowieka. Co ma wspólnego wiara w Boga z jakimś określonym stanem poznania przyrodniczego?

Nie można oczywiście cofać się do świadomości problemu sprzed krytyki poznania Kanta. To jednak nie wyklucza, że może zostać rozwinięta na tej podstawie nowa forma teoriopoznawczego realizmu, która umożliwi uprawianie teologii jako nauki. Dlatego konieczne jest, aby zająć się tymi problemami racjonalnie i augmentatywnie, a w ten sposób zyskać jasność w kwestii metafizycznego fundamentu teologii. Przedmiotem teologii jest wiara objawiona, co stanowi jej specyfikę względem wszystkich innych nauk empirycznych i transcendentalnych. Zasady teologii nie stanowi jednak wiara, ale rozum, który jest konstytutywny dla wszystkich nauk i je ze sobą łączy (*ratio fide illustrata*). Dlatego też możliwe i w pełni uprawnione jest uprawianie teologii jako nauki o treściach wiary na uniwersytecie, ponieważ jego zasadą pozostaje wiedza, a nie ignorancja, na przykład w odniesieniu do nauki o wyznaniu chrześcijańskim i jego wszystkich przejawach literackich i historycznych.

Nihilizm, „ów najbardziej niesamowity ze wszystkich gości” (Fryderyk Nietzsche), a wraz z nim relatywizm moralny, stoi u drzwi i nie

pozwole się odprawić, jeśli tajemnica bytu nie zostanie przyjęta jako miłość, zaś miłość jako tajemnica Boga. Rozum nie dosięga wiary z zewnątrz jako czynnika korygującego. Co prawda wiara jest niesiona łaską, ale sama w sobie pozostaje już jednak aktem ducha w rozumie i woli. Wiara i rozum nie stoją w sprzeczności do siebie jako coś racjonalnego i irracjonalnego. Wiara w Boga jest rozumna, ponieważ Bóg jest Rozumem, zaś tęsknota za miłością nigdy nie przerodzi się we frustrację, ponieważ Bóg jest Miłością. W wierze dokonuje się „rozsądne oddawanie czci Bogu” – *rationabile obsequium* (Rz 12,1). Kiedy Paweł zaświadczył o chrześcijańskim kerygmacie wobec króla Agrypy II z Judei (50–70 r. po Chr.) i rzymskiego namiestnika w Syrii Porcjusza Festusa (60–62 r. po Chr.), bronił się przed swoimi oskarżycielami, mówiąc, „że Mesjasz ma cierpieć, że pierwszy zmartwychwstanie, że głosić będzie światło zarówno ludowi, jak i poganom” (Dz 26,23). Kiedy Festus zawołał głośno: „Tracisz rozum, Pawle, wielka nauka doprowadza cię do utraty rozsądku” (Dz 26,24), Paweł odpowiedział: „Nie tracę rozumu, dostojny Festusie, lecz słowa, które mówię, są prawdziwe i przemyślane” (Dz 26,25). Jest to zdolność wiary, by w racjonalnym dialogu uwzględniać swoją głęboką rozumność i większą sensowność względem negacji wiary.

Ponieważ moi rodzice w domu, siostry zakonne w przedszkolu, a nasi księża w szkole wprowadzili mnie mistagogicznie w spotkanie z osobowym Bogiem z szacunkiem wobec Niego i miłością do Niego, byłem uodporniony na teopaniczne albo panteistyczne rozmycie rozumienia Boga. To, co w filozoficznej nauce o Bogu nazywane jest rzeczywistością osobową, w Objawieniu poszerza się do rozumienia życia trynitarnego Trzech Bożych Osób, będących we wzajemnych relacjach, które nie niweczą jedności Boga, ale pozwalają lepiej ją poznać w jej nieprzeniknionej głębi jako wspólnotę miłości. Dlatego mogę dialogicznie zwrócić się do Boga „Ty”, a przez Syna w Duchu Świętym nazwać go „Abba, Ojcze!” (Rz 8,14–17; Ga 4,4–7). To sam Syn Boży uczył swoich uczniów modlić się do Boga słowami: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie: święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my

odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego” (Mt 6,9; Łk 11,2–4).

Podobnie nie zdoła mnie przekonać naturalistyczna i racjonalistyczna interpretacja świata. Jest oczywiste, że pojedynczy człowiek czuje się mały i nieznaczący w niezmiernych przebiegach kosmicznych i w oceanie historycznych wydarzeń i sekwencji. Nieskończone przestrzenie i czasy wymykają się wszelkiej sile wyobraźni i w niewyczerpalnym bogactwie ewolucji życia pojedyncza istota żyjąca musi czuć się zagubiona jak kropelka wody w morzu. To wszystko może budzić skłonność, aby zamiast Stwórcy czcić stworzenie w jego mocy i przepychu albo skapitulować w obliczu tragiki skończoności lub też buntować się przeciwko nieznanej mocy, która nie zapobiega cierpieniu stworzeń. Natomiast rozdzwięk pomiędzy pozorną nieskończonością świata i nikłością jednostki skłania ku myślom, że pozornie oczywiste wydaje się szukanie zbawienia w powrocie do indywidualności w wiecznym cyklu natury albo znajdowanie zbawienia w obojętności nirwany. Czy kiedykolwiek ktoś głębiej wyraził zasadnicze chrześcijańskie usposobienie człowieka jako stworzenia Boga, który się o nas troszczy i nas zbawia, niż św. Augustyn (354–430 r. po Chr.)? Swoją spowiedź życia rozpoczął on od słów: „Jakże wielki jesteś, Panie. Jakże godzien, by Cię sławić. Wspaniała Twoja moc. Mądrości Twojej nikt nie zmierzy. Pragnie Cię sławić człowiek, cząsteczka tego, co stworzyłeś. On dźwiga swą śmiertelną dolę, świadectwo grzechu, znak wyraźny, że pysznym się sprzeciwiasz, Boże. A jednak sławić Ciebie pragnie ta cząstka świata, któryś stworzył. Ty sprawiasz sam, że sławić Cię jest błogo. Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie”⁸.

Bóg jako personalnie-relacyjna miłość we wspólnocie Ojca, Syna i Ducha Świętego nie jest wizualizacją błahej nicości albo infantylnym pomniejszeniem niewyobrażalnej bezosobowej wszechjedności bytu. Rzeczywistość osoby Boga jest nieprzenikalną tajemnicą prawdy i miłości, która nie została wymyślona albo skonstruowana jako projekcja przez nas samych, ale jest tym, co czyni ze mnie osobę,

⁸ AUGUSTYN, *Wyznania* I, 1.

która w duchu i miłości może spełniać wymagania i odpowiedzieć tajemnicy istnienia i życia. To nie ja poprzez moje skończone myślenie czynię nieskończonego Boga osobą, ale, o ile jestem w Bożej myśli, to On czyni ze mnie skończoną osobę, która dzięki temu może odpowiedzieć na Jego wezwanie. Już nawet przez samo myślenie bytu i podjęcie tematu początku i celu wszystkiego człowiek przewyższa jakościowo w sposób nieskończony całą wielość materii i życia biologicznego. Bóg jest miłością, ponieważ jest wspólnotą Ojca, Syna i Ducha. Bóg, który nie byłby osobą, pochłonąłby nas niczym zimne, bezduszne morze, połykające samotnego pływaka, i wszechświat, sprawiający, że odczepiony astronauta przepada jak kamień w wodzie.

Francuski matematyk, fizyk i filozof Blaise Pascal (1623–1662) w swoich *Myślach* bardzo obrazowo przedstawia egzystencjalne doświadczenie nicości człowieka i jego jakościową różnicę względem nieuduchowionego bytu: „Cała godność człowieka jest w myśli. Człowiek jest tylko trzcina, najwężlejszą w przyrodzie, ale trzcina myślącą. [...] Ale gdyby nawet wszechświat go zmiażdżył, człowiek byłby i tak czymś szlachetniejszym niż to, co go zabija, ponieważ wie, że umiera, i zna przewagę, którą wszechświat ma nad nim. Wszechświat nie wie nic o tym. Cała nasza godność spoczywa tedy w myśli. Z niej trzeba nam się wywodzić, a nie z przestrzeni i czasu, których nie umieli byśmy zappełnić. Silmy się tedy dobrze myśleć: oto zasada moralna”⁹.

Stąd jestem wdzięczny tym, którzy doprowadzili mnie do wiary w Boga i do wspólnoty wierzących, za personalną relację do Niego w prawdzie i miłości, która stanowi istotę aktu religijnego. „Bo takich to czcicieli chce mieć Ojciec. Bóg jest duchem: potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie” (J 4,23n).

Uważam za łaskę i zobowiązanie to, że w moim dzieciństwie i młodości nie zostałem pozbawiony Boga. Gdyby także współcześni rodzice byli zdolni udzielić odpowiedzi na najgłębsze pytania ich dzieci! Mistagogia w misterium Chrystusa jest najważniejszym urzeczywistnieniem kapłaństwa wspólnego wszystkich wiernych ze strony rodziców wobec ich dzieci powierzonych im przez Boga.

⁹ PASCAL, *Myśli*, s. 263–264.

Odpowiedź na pierwsze, wprowadzające pytanie do katechizmu w szkole podstawowej, która satysfakcjonowała mnie jako dziecko i mojego młodzieńczego ducha, a która w dalszym życiu mogła być jedynie ubogacona, ale nie zastąpiona lepszą, brzmiała: „Jesteśmy na ziemi, aby Boga poznać, miłować Go, służyć Mu, a kiedyś żyć wiecznie u Niego”¹⁰.

Nie inaczej mówi Sobór Watykański II w konstytucji duszpasterskiej *Gaudium et spes*. Człowiek znajduje się w dramatycznym doświadczeniu rozterki pomiędzy brutalnym doświadczeniem skończoności i nieograniczonym pragnieniem spełnienia, które nieskończenie przekracza możliwości przemijającego świata. Ani teoretyczny, ani praktyczny materializm, ani liberalna postępową wiara w zbawienie dzięki techniczno-naukowemu panowaniu nad światem, ani tragiczne przeżywanie lub heroiczne trwanie w nihilizmie nie zdołają udzielić zadowalającej odpowiedzi na zasadnicze egzystencjalne pytania: „Czym jest człowiek; jaki jest sens cierpienia, zła, śmierci?” (KDK 10). Te pytania kształtują skończenie-nieskończoną istotę człowieka, tak że tylko w świetle tajemnicy Chrystusa można zrozumieć tajemnicę człowieka i znaleźć rozwiązania dla wielkich wyzwań ludzkości w teraźniejszości i przyszłości, dla czasu i wieczności. „Kościół zaś wierzy, że Chrystus, który za wszystkich umarł i zmartwychwstał, może człowiekowi przez Ducha swego udzielić światła i sił, aby zdolny był odpowiedzieć najwyższemu swemu powołaniu. [...] Podobnie też wierzy, że klucz, centrum i cel całej ludzkiej historii znajduje się w jego Panu i Nauczycielu” (KDK 10).

Pobożność, w której wzrastaliśmy jako dzieci katolickiej rodziny – dwie dziewczynki i dwóch chłopców – i nauczanie wiary, które otrzymaliśmy w szkole i w parafii, mówiąc językiem teologicznym, było ukierunkowane teocentrycznie i chrystocentrycznie, ale miało też ciepły dominujący ton kobieco-maryjny. Tajemnicę ukształtowanej maryjnie katolickiej pobożności stanowi fakt, że to, co prawdziwe i dobre, nie stoi w sprzeczności do tego, co piękne, ale w nim promienieje. Sobór Watykański II tak podsumowuje nauczanie o istocie

¹⁰ *Katholischer Katechismus der Bistümer Deutschlands*, Freiburg 1955, s. 4.

i posłannictwie Kościoła Chrystusa: „Tymczasem zaś Matka Jezusowa, jak w niebie doznaje już chwały co do ciała i duszy, będąc obrazem i początkiem Kościoła mającego osiągnąć pełnię w przyszłym wieku, tak tu, na ziemi, póki nie nadejdzie dzień Pański (por. 2 P 3,10), przyświeca Ludowi Bożemu pielgrzymującemu jako znak pewnej nadziei i pociechy” (KK 68). Słowami archanioła Gabriela skierowanymi do Maryi i pozdrowienia Elżbiety jako katolicy codziennie czcimy „Matkę Pana” (Łk 1,43), odmawiając *Ave Maria*: „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”. Wraz z *Ojciec nasz* stanowi ono rdzeń modlitwy różańcowej, w której w duchu Maryi rozważa się tajemnice życia, cierpienia, śmierci i wywyższenia Jej Bożego Syna.

Przy całym szacunku dla siostr zakonnych i wychowawczyń w przedszkolu oraz z całym zaufaniem do nich, nauczycielkom i nauczycielom, duchownym, biskupom i papieżowi wyraźnie zostało przecież nakazane unikanie dziecinnego oddawania czci osobom. Bo przecież wierzymy w trójjedynego Boga, Stwórcę, Odkupiciela i Pojednawcę. Apostołowie i misjonarze Chrystusa są tylko świadkami i współwierzającymi w zbawcze orędzie, a nie treścią i motywem wiary w Boga i zbawcze dzieło Jego Syna. Jednak to właśnie one jako świadkowie ponoszą wielką odpowiedzialność za zaszczepienie zaufania i głębokiej miłości do Chrystusa w sercach ich podopiecznych, którzy powinni wzrastać i dojrzewać nie tylko fizycznie, ale także duchowo, moralnie i religijnie. Celem religijnego nauczania „jest miłość, płynąca z czystego serca, dobrego sumienia i wiary nieobłudnej” (1 Tm 1,5). Rozwijające się duchowe i duchowne życie młodych chrześcijan zależy w pozytywnym i negatywnym sensie długofalowo od wiarygodności pierwszych świadków w rodzinie, wspólnocie parafialnej i szkole. Patrząc z perspektywy czasu, mogę z wdzięcznością przyznać, że moi rodzice, nauczyciele i duszpasterze „nie zwodzili Boga” (Albert Biesinger). Razem z św. Pawłem chciałbym wyznać: „Dziękuję Bogu, któremu służę jak moi przodkowie z czystym sumieniem” (2 Tm 1,3).

Relacja z Chrystusem i Jego Kościołem zbudowana tylko na uczuciach i mechanicznym naśladowaniu zewnętrznych zwyczajów łatwo zamienia się w diametralne przeciwieństwo. Zręczliwa krytyka Kościoła albo nawet niszczycielska nienawiść do chrześcijaństwa jest często karmiona nieudaną religijną mistagogią. W takim przypadku religia chrześcijańska została niestety nałożona tylko zewnętrznie poprzez jej nauczanie, kult i zasady Kościoła (dogmaty, liturgia i prawo kościelne) i błędnie pojmowana jest jako warunki, które musi spełnić człowiek, aby zyskać coś u Boga. Jest to wyobrażenie łaski jako zapłaty za dobre sprawowanie lub – w przypadku złego sprawowania – swego rodzaju „odebranie miłości” grzesznikowi przez Boga. W rzeczywistości nauka przekazywana przez Kościół, liturgia sakramentalna i posługa apostołska prowadzą jedynie jako media łaski do spotkania z Bogiem tu, na ziemi, w wierze, i kiedyś w niebie do widzenia Boga twarzą w twarz. Apostołowie są współpracownikami Boga; mogą jedynie obsiewać i podlewać Bożą rolę, podczas gdy sam Bóg daje wzrost (1 Kor 3,6). „Jeżeli Pan domu nie zbuduje, na próżno się trudzą ci, którzy go wznoszą” (Ps 127,1). Wprowadzenie w tajemnicę Bożej miłości nie może bowiem polegać na indoktrynacji albo na moralnym przymusie uczestnictwa we Mszy św., które byłoby oderwane od tworzenia osobowej relacji z Bogiem i przyjaźni z Jezusem. Jeśli wiara nie zostanie zaszczipiona w sercu jako unosząca wszystko relacja z żyjącym Bogiem, to rozbudzony umysł wyzwoli się od „dziecięcej wiary”, będącej rzekomym pierwszym stopniem w kierunku światopoglądu naukowego i autonomicznego spojrzenia na dramat własnej egzystencji pomiędzy tragediami a komediami tego świata. W najlepszym razie człowiekowi będącemu na łożu śmierci pozostanie tęsknota za utraconą wiarą dzieciństwa i nostalgiczna chęć powrotu do niej, zamiast głębokie i wewnętrzne pojednanie się z Bogiem. Również bezkrytyczne uwielbienie dla papieża może radykalnie zamienić się w nienawiść do Kościoła albo – jako antyrzymski afekt – odebrać radość wiary, kiedy dorosły chrześcijanin doświadcza tego, co ludzkie albo zbyt ludzkie, także u osób, które są i powinny być dla niego przykładem w wierze. To z takiego bagażu doświadczeń czerpie i nim się delectuje denuncjatorska literatura faktów, poczynawszy od

Pfaffenspiegla Ottona von Corvina, aż do *Kryminalnej historii chrześcijaństwa* Karlheinz Deschnera.

Wiara w różnych okresach życia nie zmienia się, ponieważ jest ukierunkowana na żyjącego Boga i osobę Jezusa Chrystusa. Nie opiera się ona bowiem na chwiejnych uczuciach, ale jest poznaniem Boga, a tym samym miłowaniem Go ponad wszystko, co stworzone. Wiara pozostaje w życiu taka sama dzięki pomocy łaski. Miłość do Boga powinna się zaś udoskonalać przez to, że bierzemy na siebie nasz krzyż. Wiara może się jednak stać dojrzała, a nawet – dzięki przejściu przez pustynię zwątpienia i nędzę grzechu – ponownie docierać do studni żywej wody (J 4,11). Podstawą i motywem naszej wiary pozostaje bowiem sam Bóg w swoim Objawieniu. Nie powinniśmy jej więc uzależniać od doskonałości albo niedostatków jej pośredników. W swoim komentarzu do Listu do Rzymian Tomasz z Akwinu wyjaśnia powiązanie wiary jako łaski wlanej i jako zewnętrznego słuchania głoszących ją słów: „Do wiary potrzeba dwóch rzeczy: po pierwsze skłonności serca do wierzenia, i to nie pochodzi ze słuchania, ale jest darem łaski; po drugie powołania ze strony przedmiotu wiary, i ono pochodzi ze słuchania. Dlatego Korneliusz, który posiadał skłonne do wierzenia serce, potrzebował jeszcze, aby został posłany do niego Piotr, który miał mu bliżej określić, w co należy wierzyć”¹¹. Bezpośredniość wierzącego wobec Boga i pośrednictwo wiary poprzez hierarchiczno-sakramentalny Kościół stanowią zatem strony tej samej monety. Zależą one od siebie nawzajem, jednakże prym wiedzie Boża inicjatywa. Tutaj ukazuje się jednak specyficzność katolickiego rozumienia Kościoła. Zaczyna się ono od nierozdzielności Boga i człowieka w Chrystusie. Z inkarnacji wynika potem także niepodzielność Kościoła na wewnętrzną, niewidzialną wspólnotę łaski z Bogiem i na sakramentalne pośrednictwo w widzialnym Kościele apostoelskim. Odnosi się ona do ukonstytuowania człowieka jako jedności duchowo-cieleśnej i historyczno-społecznej. „Dzięki temu staje się jednak zrozumiałe, że Kościół, chociaż składa się z ludzi, jednak nie jest tylko ludzki. Raczej, podobnie jak w Chrystusie, choć można

¹¹ TOMASZ Z AKWINU, *Wykład Listu do Rzymian*, 10,17, lect. 2.

odróżnić to, co boskie, i to, co ludzkie, to jednak obydwójce połączone są w jedność, trwa On także w niepodzielnej całości w Kościele. Kościół, jego trwała postać, jest zarazem boski i ludzki, jest jednością obojga. To właśnie Chrystus działa w nim ukryty w ziemskiej i ludzkiej postaci, dlatego ma on w sposób nierozdzielny boską i ludzką stronę, tak iż boskie od ludzkiego ani ludzkie od boskiego nie może być oddzielone. Stąd też w odniesieniu do obydwu tych stron używa się zamiennie ich określeń: boskim jest żyjący Chrystus, a Jego Duch w Kościele jest tym, co nieomyślne, wiecznie niezawodne, stąd też to, co ludzkie, jest także nieomyślne i niezawodne, ponieważ Boże bez ludzkiego w ogóle dla nas nie istnieje; ludzkie nie jest samo z siebie, ale jako organ i jako ukazanie się tego, co boskie. Stąd też pojmujemy, jak mogło zostać powierzone ludziom coś tak wielkiego, ważnego i znaczącego¹².

Zrozumienie wiary (*fides quaerens intellectum*) może zwrotnie zostać głębiej pojęte, ponieważ zgodnie ze swoją naturą ma ona udział w Bożym poznaniu (w wewnętrznym Słowie Boga, w którym realizuje się jego istota w relacji Trzech Boskich Osób, w Logosie, który był u Boga i jest Bogiem). Chociaż każdy człowiek powołany jest do poznania i miłości Boga, i w ten sposób zrozumienie wiary (*intellectus fidei*) nigdy nie może zastąpić, wyczerpać ani wyprzedzić słuchania wiary (*auditus fidei*), to jednak przekaz intelektualny i argumentatywne przedstawienie objawionej wiary są w naukowej teologii niezbędnymi zadaniami Kościoła, które w dużym stopniu stanowią nieodzowny element przepowiadania i prezentacji wiary (por. 1 P 3,15). Odnosi się to także do autentycznego wykładu nauczania Kościoła przez papieży jako następców św. Piotra.

Już w przedszkolu, w szkole i zawsze, kiedy podczas nabożeństw odczytywano odpowiednie miejsca w ewangeliach i w Dziejach Apostolskich, nurtowała mnie historia Piotra. Trzy razy wyparł się Jezusa, a po tym, jak trzy razy wyznał miłość do Jezusa, zmartwychwstałego Pana, jego udziałem stała się szczególna misja: „Paś moje owce i baranki!”. Nie kto inny jak papież w Rzymie był jego następcą.

¹² JOHANN ADAM MÖHLER, *Symbolik*, §36.

Jako początkujący ministranci widzieliśmy w salonie na plebanii budzący szacunek portret Piusa XII, który klęczał na klęczniku ze złożonymi do modlitwy rękami. Wysnułem z tego wnioski, że także papież uznaje swoją małość wobec wiecznego i wszechmogącego Boga, Stworzyciela nieba i ziemi. W modlitwie prosi on o Bożą łaskę i pomoc. Oczy wznoszą się na NIEGO, który nas podtrzymuje. Bogu możemy zaufać. Bóg wysłucha naszych modlitw i potem prowadzi nas pewnie także do zbawienia, nawet jeśli chwilami możemy uważać nasz krzyż za zbyt ciężki. Papież, pierwszy modlący się Kościoła, i Kościół, wspólnota wiary i modlitwy będąca w drodze, powszechny pasterz Kościoła w służbie jedynego prawdziwego „Pasterza i Stróża dusz waszych” (1 P 2,25; por. 1 Klem 61,3) – to religijne obrazy papieża, które odcisnęły się na dziecięcym umyśle.

Może się zdarzyć, że kpiarze takie zdjęcie oceniają jako wyreżyserowaną pozę. Jednak jest to wyraz ich uprzedzenia do osoby, które skłania ich do przedstawiania takich insynuacji. W sposób nieunikniony wszystkie portrety i zdjęcia paszportowe są w jakimś sensie wyreżyserowaną pozą, ale ukazują także charakter osoby. A to, co czytałem potem w poważnych publikacjach naukowych o Piusie XII, potwierdziło tylko moje głębokie wrażenie z wczesnej młodości.

Wiara w Jezusa Chrystusa umacnia się w świetle historii życia głęboko wierzących chrześcijan. Będąc 12-latką, odkryłem u mojej cioci Anny Müller (1904–1987) książkę Wilhelma Hünermanna *Brennendes Feuer* (1954) o papieżu Piusie X (1903–1914) i żywo wczułem się w postawę tego przykładowego papieża-duszpasterza. Jego hasłem przewodnim było: „Wszystko odnowić w Chrystusie”. Apostolskiej gorliwości dla domu Bożego, która się w tym wyraża, mogłem doświadczyć ze strony wszystkich kapłanów z czasu mojej młodości w parafii i w szkole. U mojego ojca chrzestnego Ludwiga Andresa (1906–1976) w szafie ściennej stała słynna historia papieża autorstwa Ludwiga Pastora (1854–1928), którą odziedziczyłem po jego śmierci i w znacznej części przestudiowałem. Mój pradziadek Wilhelm Müller (1843–1917), stolarz-artysta i organista, jak głosił rodzinny przekaz, razem z dwoma przyjaciółmi odbył pieszą pielgrzymkę z Moguncji do Rzymu i został przyjęty na prywatnej audyencji przez wielkiego

papieża katolickiej nauki społecznej Leona XIII (1878–1903). W nekrologu „Mainzer Journal”, w wydaniu z 31 grudnia 1917 roku, wspominał pokornego pielgrzyma do Rzymu, który nie ukrywał swojego prostego pochodzenia: „A przecież mogło być wówczas tylko niewielu członków stowarzyszenia pielgrzymów, którzy przeczytali więcej o Włoszech i o wiecznym Rzymie niż skromny rzemieślnik. Żył i umarł z Kościołem. Wraz z nim odszedł spośród nas człowiek, który swoje wierne katolickie poglądy wyniósł od dzielnych rodziców i niezakłócone zachował przez całe długie życie”. Było to zawsze uważane za wyraz wierności Kościołowi i przywiązania do papieża w całej tradycji rodzinnej, którą można prześledzić zachowaną w pisanych dokumentach i we wspomnieniach aż do czasów Napoleona (1769–1821). Jakob Müller (1798–1884), dziadek mojego dziadka Petera Müllera (1877–1960), miał podobno widzieć cesarza Francuzów uciekającego przez Moguncję po przegranej przez niego bitwie narodów pod Lipskiem (1813).

Dziecięca linia wspomnień prowadzi także do papieża Benedykta XV (1914–1922). Kiedy wybuchła I wojna światowa (1914–1918), mój ojciec Martin (1905–1990) miał 9 lat, a jego siostra Anna 10 lat. Opowiadali nam, dzieciom, jak całymi dniami i tygodniami widzieli maszerujący obok naszego domu na szosie Paryskiej ciąg młodziutkich żołnierzy udających się na front zachodni; a potem, podczas wycofywania się w 1918 roku, tak wielu z nich już nie wróciło. Zamiast kwitnącej młodości widziało się pochód nędzy i naznaczonych okrucieństwem wojny postaci. W mojej młodości słuchałem jeszcze dziadków opowiadających o bitwach pod Verdun, o fort Douaumont, ale także o walkach w Szampanii, Flandrii, Polsce i Rosji.

Czytałem później autobiografię Carla Zuckmayera (1896–1977), pisarza z Nackenheim, blisko moich rodzinnych stron, zatytułowaną: *Als wär's ein Stück von mir. Horen der Freundschaft* (1966), w której przedstawił on także swoje wspomnienia wojenne z czasów pierwszej wojny światowej. Będąc dzieckiem i młodzieńcem, nie można jeszcze w pełni ocenić, jakie okropieństwo i szaleństwo wiąże się z przeżyciami wojennymi obydwu pokoleń dziadków i ojców. Dwudziestoletni brat mojej matki, Karl Geyer (1922–1942), który zawsze był

przeciwnikiem Hitlera, musiał poświęcić swoje młode życie pod Stalingradem dla największego przestępcy w historii Niemiec.

Bezsensowności wojny – tak opowiadano w kręgach rodzinnych – przeciwstawił się tylko papież Benedykt XV, który w 1917 roku wydał notę na rzecz pokoju. Jednak wrogo nastawieni do katolicyzmu pruscy generałowie, jak chociażby Erich Ludendorff (1865–1937), późniejszy przejściowy sojusznik Adolfa Hitlera (1889–1945), postawili na całkowite zwycięstwo i wszystko przegrali. Ich postawa była podyktowana maksymą: „Papież nie będzie przecież dyktował nam pokoju”. Było to świeżo w pamięci, ponieważ przygnębienie i nędza francuskiej okupacji części Niemiec położonej po lewej stronie Renu bardzo mocno pamiętana była aż do śmierci w pokoleniu mojego ojca. Kwestia winy wojennej powinna odnosić się nie tylko do wybuchu wojny, ale również do jej przestępczego niezakończenia. Kto przejmie odpowiedzialność za miliony ludzkich istnień, które po obu stronach zostały ofiarowane bóstwu „zwycięski pokój”? Już od lat dziecięcych tkwiło w nas powszechnie wyobrażenie, że urząd papieski ma coś wspólnego z pokojem wśród narodów i jako neutralny stoi ponad partiami. W pamięci pozostały wysiłki Piusa X i Piusa XII, aby zapobiec wybuchom wojen w 1914 i w 1939 roku.

Ze wspomnieniami walki o wolność Kościoła od państwa w czasie niemieckiego Kulturkampfu (1871–1878) wiązała się też дума z naszego wielkiego mogunckiego biskupa Wilhelma Emmanuela barona von Kettelera (1811–1877), który stanowczo bronił niezależności Kościoła i występował przeciwko liberalizmowi i państwowej kościelności. Ze względu na swoją naukę społeczną był on niewątpliwie najbardziej znamienitym niemieckim biskupem XIX wieku. W klasztorze Sióstr od Bożej Opatrzności w mojej rodzinnej miejscowości Finthen obok wejścia do kościoła klasztornego stoi obelisk, który upamiętnia go jako założyciela wspólnoty. Tak więc był on mi znany od wczesnego dzieciństwa. Społeczna gospodarka rynkowa rozwijająca się na bazie katolickiej etyki społecznej stanowi odpowiedź na destrukcyjny kapitalizm z Manchesteru, system, który zainteresowany był wyłącznie zyskiem, bez sprawiedliwego podziału, i na socjalizm, chcący tylko dzielić bez produkcji. Decydujące jest ukierunkowanie

na chrześcijański obraz człowieka, który wychodzi od godności osoby ludzkiej. Personalność, subsydiarność, obowiązek sprawiedliwości społecznej własności są zasadami istotnymi dla ukształtowania sprawiedliwego porządku społeczeństwa.

Jak daleko sięga ludzka pamięć, moja rodzina była politycznie zakorzeniona w tradycji centrum i odporna na fletnie narodowego socjalizmu. Moja mama, Lioba Müller z domu Straub (1912–1999), która u początków hitlerowskiego barbarzyństwa była młodą dziewczyną liczącą zaledwie 20 lat, chociaż nie otrzymała wykształcenia akademickiego, była przekonana, że Hitler to zwiastun nieszczęść, ponieważ „strasznie i nieludzko się wydziera”. Nie tylko zdrowy rozsądek, ale także zmysł wiary ludu Bożego od samego początku pozwalał wielu ludziom wyczuwać, do jakiej przepaści musiała prowadzić ta bezbożna i wroga człowiekowi ideologia. Mój ojciec w listopadzie 1938 roku uratował dziecko swojego kolegi z ławy szkolnej, które jakiś fanatyczny nazista chciał zrzucić z okna.

Oprócz moich osobistych doświadczeń, zachowałem ze słyszenia jedno żywe wspomnienie moich rodziców i dziadków: papieża Piusa XI z powodu ukazania się jego encykliki *Mit brennender Sorge* z 14 marca 1937 roku o sytuacji Kościoła katolickiego w Rzeszy Niemieckiej. W dokumencie tym z punktu widzenia wiary chrześcijańskiej odrzuca on z całą jednoznacznością i stanowczością ideologię nazistowską. Już jako młody gimnazjalista miałem w swoich rękach egzemplarz tej encykliki. Urzekł mnie jej szczerzy i odważny język. Po wyjaśnieniu wewnętrznego związku wiary w jednego, prawdziwego i osobowego Boga, w prawdziwe Bóstwo i Człowieczeństwo Chrystusa, z wiarą w widzialny Kościół jako „filary i podporę prawdy” (1 Tm 3,15), papież Pius XI uznał naturalne prawo moralne za najwyższy gwarant, dostępny każdemu człowiekowi dzięki jego rozumowi, przeciwko relatywizmowi i subiektywizmowi moralnemu: „Na prawdziwej i czystej wierze w Boga opiera się moralność ludzkości. Wszelkie próby oderwania nauki moralnej i porządku moralnego od fundamentu wiary, silnego jak skała, i oparciu ich na piasku norm ludzkich, prowadzą jednostkę i społeczeństwa prędzej czy później do upadku moralnego. Głupiec, który mówi w swym sercu, że nie ma

Boga, będzie chodził drogami zepsucia moralnego (Ps 13,1n). Głupców tych, zamierzających obecnie rozdzielić religię i moralność, jest legion. Nie widzą oni albo nie chcą widzieć, że usuwanie chrześcijaństwa wyznaniowego, tzn. jasnego i ściśle określonego pojęcia chrześcijaństwa, z nauczania i wychowania, i udaremnianie mu możliwości wpływania na kształtowanie się życia społecznego i publicznego wiedzie do zubożenia duchowego i upadku. Żaden przymus, żadne czysto ziemskie ideały, choćby nawet same w sobie były szlachetne i wzniosłe, nie będą w stanie zastąpić na dłuższą metę ostatecznych i decydujących bodźców, pochodzących z wiary w Boga i Chrystusa. Jeżeli żąda się od człowieka najwyższych ofiar i wyrzeczenia się swego małego «Ja» na korzyść dobra publicznego, a przy tym odbiera mu się moralne oparcie na tym, co wieczne i boskie, na podnoszącej i krzepiącej wierze w Boga, wynagradzającego za dobro, a karzącego za zło, to dla niezliczonych jednostek następstwem tego będzie nie branie na siebie obowiązku, lecz ucieczka przed nim. Sumienne przestrzeganie dziesięciorga przykazań Bożych i przykazań kościelnych, będących jedynie przepisami wykonawczymi zasad ewangelicznych, jest dla każdej jednostki niezrównaną szkołą systematycznego wychowania samego siebie, tężyzny moralnej i wyrabiania charakteru. Jest szkołą, która wymaga wiele, ale nie za wiele. Bóg pełen dobroci, który jako prawodawca mówi: «Masz to uczynić», w łaskowości swej daje również możliwość i wykonanie. Nie wykorzystać tak głęboko działających, twórczych sił moralnych albo wprost uniemożliwić im oddziaływanie na wychowanie narodu, to znaczy przyczyniać się w sposób nieodpowiedzialny do «niedorozwoju» religijnego społeczeństwa. Uzależnienie nauki moralności od subiektywnej, zmiennej opinii ludzkiej, zamiast oparcia jej na świętej woli Boga wiekuistego, na Jego przykazaniach, otwiera szeroko wrota siłom rozkładu. Rozpoczęte przez to zaprzepaszczenie wiecznych norm obiektywnej nauki moralnej, przeznaczonej do ukształtowania sumień, do uszlachetnienia wszystkich dziedzin życia, jest grzechem przeciwko przyszłości narodu, a za gorzkie owoce grzechu będą musiały zapłacić przyszłe pokolenia”.

Jako początkujący, dziewięcioletni ministranci, w latach 50. byliśmy już świadomi tego, że nasza katolicka wiara odróżnia się od

wiary naszych ewangelickich kolegów szkolnych, ponieważ my uznajemy papieża za najwyższego pasterza Kościoła, ojca i nauczyciela chrześcijaństwa, podczas gdy ci drudzy go odrzucają. Ewangelicy przytaczali jako argument postacie złych papieży. Często słyszałem wtedy i ciągle jeszcze słyszę: „Wasza wiara jest średniowieczna”, „My, ewangelicy, jesteśmy wolni w myśleniu i kierujemy się sumieniem, podczas gdy wy pozwalacie, żeby papież wam podpowiadał, w co macie wierzyć”. A potem jeszcze także, że w Kościele katolickim chodzi przede wszystkim o władzę i że istnieje w nim zbyt wiele przepychu; tak mówili ludzie stojący z dala od Kościoła, których już wtedy nie brakowało. Mówiło się o złotym telefonie papieża i życiu w luksusach księząt Kościoła, podczas gdy przecież jest tak wielu biednych, i że Kościół zawsze trzymał z bogatymi i możnymi. Celibat wcale nie jest zachowywany i księża po kryjomu mają swoje kochanki. O wiele lepsze jest zatem to, że ewangeliccy pastory są żonaci i troszczą się o swoje rodziny, dzięki czemu rozumieją problemy małżeńskie i wychowawcze.

Nasi księża i rodzice nie kwestionowali istnienia złych papieży i biskupów, jednak zwracali uwagę na to, że było to bardzo dawno temu, a my w najnowszych czasach mamy wielu papieży zasługujących na palmę świętości. Poza tym należałoby rozróżnić pomiędzy urzędem a osobą. Tam, gdzie są ludzie, tam rzeczywiście często postępuje się zbyt po ludzku, również dotyczy to duchownych aż do najwyższych szczebli. Chodziliśmy do kościoła nie z powodu naszego proboszcza ani też nie opuszczaliśmy nabożeństw po to, żeby go denerwować, a tym bardziej ukarać. Również proboszcz, a nawet papież, musi się spowiadać. To była lekcja na temat rozdźwięku pomiędzy ideałem a realiami życia, która na zawsze utkwiała mi w pamięci. A później podczas lekcji religii mocne wrażenie zrobiła na nas odpowiedź kardynała sekretarza stanu papieża Piusa VII (1800–1823) Ercole Consalviego udzielona Napoleonowi. Na pytanie cesarza: „Czy Eminencja zdaje sobie sprawę z tego, że w każdej chwili mogę zniszczyć Kościół?”, ten odparł: „Czy Wasza Wysokość zdaje sobie sprawę z tego, że nawet nam, księżom, przez osiemnaście wieków to się nie udało?”.

Napoleon był dla nas przeszłością, natomiast Jezus, Pan Kościoła, staje się teraźniejszością podczas każdej Mszy św. Nauczano nas: Ofiara Mszy św. jest nie czym innym jak jednorazową ofiarą krzyża w jej sakramentalnym uobecnieniu. Już od najwcześniejszych czasów utrwaliło mi się w pamięci sformułowanie: pod postaciami chleba i wina po świętym przeistoczeniu jest sam Chrystus „prawdziwie, realnie i substancjalnie obecny”, a nie tylko jako wspomniany. Oczywiście nie wiedziałem wtedy jeszcze, że tak właśnie zostało to zdefiniowane przez Sobór Trydencki (1551) i że nauczanie o transsubstancjacji, przemianie substancji chleba i wina w substancję Ciała i Krwi Chrystusa, ma swoje początki już na IV Soborze Laterańskim w *Caput firmiter* (1215) jako obowiązujące nauczanie wiary.

Kiedy odczytywano Ewangelię o wyznaniu wiary w Mesjasza i o obietnicy prymatu, wyznanie Szymona Piotra do Jezusa: „Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego”, było dla mnie jednym z przejmujących aż do głębi ze względu na siłę przekonania. To jest prawda, nic nie może być prawdziwsze! I kiedy słyszałem, że ten sam Szymon Piotr na pytanie Jezusa skierowane do Dwunastu: „Czy i wy chcecie odejść?”, odpowiada: „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego. A myśmy uwierzyli i poznali, że Ty jesteś Świętym Boga” (J 6,68n), to czułem, jak w tym samym momencie Jezus pyta także i mnie, czy wewnętrznie i zewnętrznie chcę się z Nim pożegnać albo przy Nim pozostać i iść dalej razem z pielgrzymującym Kościołem. Inna odpowiedź, niż ta, której udzielił Piotr, nigdy nie przyszła mi na myśl. Jakże często odnawiałem moje przyrzeczenia chrzcielne w znanej pieśni: „Com przyrzekł Bogu raz, dotrzymać pragnę szczerze, Kościoła słuchać w każdy czas i w świętej wytrwać wierze. O Panie Boże, dzięki Ci, Żeś mi Kościoła otwarł drzwi, W nim żyć, umierać pragnę”. Mam nadzieję, że dzięki łasce Bożej pozostanę wierny aż do śmierci przyrzeczeniom chrzcielnym, które podczas mojego chrztu wypowiedzieli w moim imieniu moi rodzice i chrzestni.

Obietnica Jezusa dla Piotra: „Ty jesteś Piotr, opoka, i na tej opoce zbuduję mój Kościół, a bramy piekielne go nie przemogą”, była dla mnie równie zrozumiała i przekonująca, jak fakt, że Jezus jest naprawdę Synem Bożym, który stał się ciałem (J 1,14). Budowa widzialnego

Kościola, który jako Ciało Chrystusa z jego Głową tworzy żyjącą jedność, jest dla mnie po prostu konsekwencją Wcielenia i jego trwałą i ucieleśnioną obecnością na świecie.

Protestancki egzegeta Heinrich Schlier (1900–1978) trafnie ujmuje to, co „niezmiennie katolickie”: „Bóg w Jezusie Chrystusie i Jego historii zdecydował się konkretnie i na wszystko. Ta Jego decyzja nadeszła w jednoznacznym słowie i znaku, które zostały powierzone jednoznacznej służbie uobecniania decyzji. Dokonuje ona rozdzielenia i decyzji w zdecydowanej wierze, w nadziei i w miłości. W ten sposób jako obecność jego decyzji założony zostaje Kościół, który rozprzestrzenia się w wymiarze ziemskim. Zaskoczony taką decyzją świat buntuje się przeciwko niej i w tym odzwierciedla ową decyzję”¹³. Ta charakterystyka katolickiego rozumienia zbawienia i Kościoła wyraża jedynie refleksję o tym, co w katolickim wychowaniu przekazane zostało całościowo i co przeszło „w ciało i krew” moich katolickich poglądów na temat wiary.

Przypominam sobie jeszcze zainicjowaną w 1956 roku przez Piusa XII reformę liturgii Wielkiego Tygodnia i Wigilii Paschalnej, a to dlatego, ponieważ w zakrystii panowała ogromna niepewność co do zmian w przebiegu obrzędów liturgicznych. Później, dzięki encyklice *Mediator Dei* (1947), w pełni uświadomiłem sobie znaczenie tego papieża dla reformy liturgicznej, a dzięki encyklice *Mystici corporis* (1943) jego wkład w dalszy rozwój eklezjologii; ten drugi dokument doprowadzał do konstytucji soborowej *Lumen gentium* (1964) Soboru Watykańskiego II. Zmysł kościelny, wycucie dla tajemnicy Kościoła, w którym rzeczywiście i prawdziwie dokonuje się pośrednictwo jedności życia z Bogiem, jest ściśle powiązane ze Świętą i Bożą liturgią, jak trafnie nazywa Świętą Eucharystię teologia wschodnia. W trakcie roku kościelnego: od Adwentu do Bożego Narodzenia, od Wielkiego Postu do obchodów Męki i Zmartwychwstania, uobecnia się bożonarodzeniowa i wielkocna tajemnica zbawienia, tak że w wierze i w miłości całkowicie zostajemy w nią włączeni. Spotykamy w niej Chrystusa w Jego Bóstwie

¹³ HEINRICH SCHLIER, *Das Ende der Zeit. Exegetische Aufsätze und Vorträge* 3, Freiburg 1971, s. 320.

i Człowieczeństwie, tak jak niegdyś apostołowie spotykali Go i byli blisko Niego. Z coraz szerszą znajomością Biblii poznawanej w czytaniach mszalnych i w czasie szkolnej nauki jest związane wewnętrzne uczestnictwo w liturgii, wszystkimi zmysłami, które pobudza wewnętrzne wycucie, najlepsze duchowe doprowadzenie do Boga, dla Jego uwielbienia i naszego doświadczenia zbawczego.

Nie ma chyba piękniejszego opisu tego, czego może mistycznie doświadczyć młody jeszcze chrześcijanin, niż wypowiedź Soboru Watykańskiego II zawarta w Konstytucji o liturgii świętej: „W liturgii, zwłaszcza w boskiej Ofierze eucharystycznej, «dokonuje się dzieło naszego Odkupienia»; w najwyższym stopniu przyczynia się ona do tego, aby wierni swoim życiem wyrażali oraz ujawniali innym ludziom misterium Chrystusa i rzeczywistą naturę prawdziwego Kościoła. Jest on bowiem ludzki i jednocześnie boski; widzialny i wyposażony w dobra niewidzialne, żarliwy w działaniu i oddany kontemplacji, obecny w świecie, a zarazem pielgrzymujący. To jednak, co w Kościele jest ludzkie, nastawione jest na to, co boskie, i temu podporządkowane; to, co widzialne, prowadzi do rzeczywistości niewidzialnej; życie czynne wiedzie do kontemplacji, a to, co doczesne, jest drogą do przyszłego miasta, którego szukamy. Dlatego skoro liturgia codziennie przekształca tych, którzy są wewnątrz Kościoła, w święty przybytek w Panu, w mieszkanie Boga w Duchu, aż do miary pełni wieku Chrystusowego, w przedziwny sposób równocześnie umacnia ich siły do głoszenia Chrystusa, i tak znajdującym się poza Kościołem ukazuje Go jako znak wzniesiony dla narodów, aby rozproszone dzieci Boże zgromadziły się w jedno, aż nastanie jedna owczarnia i jeden pasterz” (KL 2).

Jako 16-letni uczniowie bardzo burzliwie dyskutowaliśmy po ukazaniu się *Namiestnika* Hochhutha (1963), czy publiczny protest przeciwko ludobójstwu dokonywanemu na Żydach mógłby powstrzymać Hitlera i jego siepaczy. Nasi nauczyciele w mogunckim Gimnazjum Willigisa wyczerpująco i z wysoką kompetencją omawiali w trakcie lekcji historii i religii ten temat, przedstawiając prawdziwą historię panowania nazistów, ludobójstwa na Żydach, a także tak zwanych podstaw światopoglądowych tej ideologii w nienawistnym dla ludzi rasizmie i biologizmie. Tamte książki do nauki historii posiadam jeszcze

do dziś. Moje stanowisko wobec hipotetycznej kwestii, czy Pius XII poprzez publiczne oskarżenie powstrzymałby niszczycielską machinę nazistów, jest takie, że papież znalazł się w nierozwiązywalnym dylemacie, w którym jedna opcja była bardziej niewłaściwa od drugiej. Reakcja na list pasterski biskupów holenderskich (1942) przeciwko prześladowaniu współobywateli wyznania judaistycznego pokazuje, do czego zdolni byli naziści. Insynuować papieżowi obojętne albo tym bardziej aprobujące milczenie wobec okrutnego losu milionów ludzi w najogromniejszej zbrodni w dziejach ludzkości i uzasadniać je tradycyjnym chrześcijańskim antysemityzmem wydawało mi się po prostu niesłychane i bezczelne.

Jak dowiedziałem się niedawno, także pomieszczenia i budynki Kongregacji Nauki Wiary z polecenia Piusa XII służyły za kryjówki dla Żydów mieszkających w Rzymie, i to pogłębia moją więź wdzięczności z papieżem mojego dzieciństwa.

Święty papież Jan XXIII (1958–1963)

Oczywiście świadomość nastolatka pomiędzy 11 a 16 rokiem życia jest o wiele obszerniej ukształtowana i zdolna do wydawania osądów aniżeli w przypadku dziecka, którego wspomnienia i głębokie doświadczenia w dużej mierze uformowane zostają przez opowiadania i wyjaśnienia osób dorosłych. Jednak ze względu na okres dojrzewania musi on zdać wielki egzamin dojrzałości. Przemiana z chłopca w mężczyznę jest wielkim wyzwaniem, a w końcu także wyczynem, który skłania mniej do dumy z siebie samego, a bardziej do wdzięczności w stosunku do innych. Każdemu, kto wkracza w tę fazę swojego życia, powinno się w tym miejscu dodawać odwagi. Warto, żebyś odniósł zwycięstwo i całym swoim życiem zasłużył na pełną aprobatę Boga.

Odbiornik telewizyjny, który w moich młodzieńczych latach coraz bardziej wkraczał do wszystkich domów, znacząco zmniejszył optyczny i odczuwalny dystans do Rzymu. Zmieniony styl papieżstwa można było zauważyć bezpośrednio w licznych artykułach pojawiających się w katolickich czasopismach; stał się on przedmiotem wielu prywatnych i publicznych dyskusji. Dobry papież Jan uprościł

sprawiający archaiczne wrażenie ceremoniał i nie wydawał się tak bardzo oddalony od codzienności. Papież odwiedzał skazanych, nie był już „więźniem Watykanu”, ale podejmował pielgrzymki do Loreto i Asyżu. Dzięki zdrowemu rozsądkowi rozładowywał niektóre trudne sytuacje. Jego inicjatywie zawdzięczamy najbardziej znaczące wydarzenie w najnowszej historii Kościoła, mianowicie Sobór Watykański II (1962–1965). Młodzi katolicy byli pod wrażeniem uroczystej, zdającej się nie mieć końca procesji ojców soborowych z całego świata podczas otwarcia soboru 11 października 1962 roku, którą śledziliśmy za pośrednictwem telewizji na plebanii. Można było przyglądać się historii Kościoła. Album *Überall bist du zu Hause* [„Wszędzie jesteś w domu”] pogłębił moją świadomość powszechności Kościoła. Księża z Afryki, którzy w parafii podejmowali zastępstwo na czas wakacji, byli dla nas ciekawymi partnerami do rozmów i mocno poszerzali nasz horyzont doświadczeń. Jakimż uczuciem było zobaczyć zobrazowane słowa Jezusa: „Idźcie na cały świat i głosście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony” (Mk 16,15–16).

Tak jak podczas pierwszych chrześcijańskich Zielonych Świątek (Dz 2,1–42) zebrani byli ludzie wszystkich języków i narodów, podobnie my mieliśmy przed oczyma obejmujący wszystkie narody współczesny Kościół. „Potem ujrzałem: a oto wielki tłum, którego nie mógł nikt policzyć, z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i języków” (Ap 7,9). Katolik ma poczucie przynależności do jednej rodziny Bożej: „Usiłujcie zachować jedność Ducha dzięki więzi, jaką jest pokój. Jedno jest Ciało i jeden Duch, bo też zostaliście wezwani do jednej nadziei, jaką daje wasze powołanie. Jeden jest Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden jest Bóg i Ojciec wszystkich, który [jest i działa] ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich” (Ef 4,4–6). Rasistowskie lub kulturowe poczucie wyższości lub niższości ze swej natury jest obce i odrażające dla prawdziwie katolickiej mentalności. Rodzinna solidarność rozciąga się na wszystkich „ludzi, siedzących dookoła Jezusa” (Mk 3,34) i tych, o których Pan powiedział: „kto pełni wolę Ojca mojego, który jest w niebie, ten Mi jest bratem, siostrą i matką” (Mt 12,50). Do grona prawdziwych krewnych

Jezusa należą wszyscy ci, „którzy słuchają słowa Bożego i je wypełniają” (Łk 8,21). Każda kłótnia między ludźmi jest sporem braterskim i każda wojna między narodami jest nie czym innym jak bratobójstwem. Inicjatywa dyplomatyczna Jana XXIII i jego nieustanne błaganie Boga, aby zapobiec grożącej podczas kryzysu kubańskiego w 1962 roku wojnie atomowej, stanowiły akt jego najwyższej odpowiedzialności jako namiestnika Chrystusa za sprawę pokoju na świecie i dobra ludzkości. W tym dramatycznym momencie był on sumieniem świata. Tak rozumiałem to już wówczas, mając 15 lat, wraz z wieloma innymi młodymi katolikami.

Przeczytałem też wtedy przynajmniej fragmenty encykliki *Pacem in terris* (1963). Jego program *aggiornamento* Kościoła odbił się wszędzie pozytywnym echem. Chodziło o przeciwstawienie się zeświecczeniu Kościoła lub udogodnieniom w naśladowaniu ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Pana. Odczuwalne były już wpływy materializmu i konsumpcjonizmu zachodniego dobrobytu. Padalo wiele słów uznania dla osiągnięć Kościoła na polu kultury i pracy społecznej, a mało za naśladowanie Chrystusa – taki był ton wypowiedzi na początku lat 60. Z okazji mojego egzaminu maturalnego w czerwcu 1967 roku doktor Jakob Bergmann (1900–1982), starannie wykształcony emerytowany duchowny w naszej parafii św. Marcina w Moguncji-Finthen, podarował mi książeczkę *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasa à Kempis. Jako dedykację wpisał po grecku słowa św. Pawła, które po dziś dzień towarzyszą mojej drodze jako chrześcijanina i kapłana: „Dla mnie bowiem żyć – to Chrystus” (Flp 1,21).

Później, już po moim wstąpieniu do seminarium duchownego w Moguncji 10 października 1967 roku, wywarła na mnie duże wrażenie lektura dzienniczka duchowego Jana XXIII, który pomaga nie tyle uzasadnić, co raczej przezwyciężyć postępującą od tego czasu polaryzację Kościoła na skrzydło konserwatywne i postępowe. W tym czasie po raz pierwszy uświadomiłem sobie napięcie, jakie istnieje pomiędzy wiernym przekazem dziedzictwa wiary i jego przedstawieniem na miarę czasów, nawet jeżeli ideologiczna przepaść pomiędzy mocno zwalczającymi się frakcjami w Kościele wyraźnie ujawniła się dopiero wraz z Katholikentagiem w Essen (1968) i wrogimi reakcjami

na encyklikę *Humanae vitae* Pawła VI. We wszelkich kwestiach bezli-
tośnie domagano się podjęcia decyzji, by potem zostać okrzyczanymi
jako zwolennicy papieża albo chwalonymi jako jego krytycy. U nie-
których katolicyzm przybrał znamiona patologiczne. Progresywny
albo konserwatywny stał się oznaką katolicyzmu, zamiast wiary ka-
tolickiej, która przewycięża ducha partyjności.

Późniejszy kardynał Henri de Lubac (1896–1991) dzięki książce
Medytacje o Kościele, którą w języku niemieckim wydał w 1968 roku
Hans Urs von Balthasar (1905–1988), pomógł mi odnaleźć moją wła-
sną drogę, biegnącą poza niszczycielskim przeciwieństwem konser-
watywizmu (integralizmu) i progresizmu (modernizmu). Bezowocność
i destrukcyjność tych postaw, które nie podkreślają jakiegoś ważnego
elementu w całości, ale go z tej całości wrywają, opiera się na pomie-
szaniu wiary, pochodzącej ze słuchania słowa Bożego, z samodzielnie
wymyśloną ideologią, która jest nie czym innym jak gnostyckim sa-
mozbawieniem.

Jako kardynał-prefekt Kongregacji Nauki Wiary uczestniczy-
łem w Niedzielę Miłosierdzia Bożego w 2014 roku na placu św. Pio-
tra w kanonizacji Jana XXIII, która dokonała się razem z kanonizacją
Jana Pawła II, i przedstawiłem mu prośbę, aby wstawiał się u Ojca
Niebieskiego za wewnątrzkościelną jednością. To był czas Jana XXIII,
kiedy coraz bardziej dojrzewiała we mnie myśl, która zapowiadała się
już we wczesnym dzieciństwie, aby studiować teologię i służyć kie-
dyś Kościołowi jako kapłan, jeśli tylko Pan Bóg zechce mnie powo-
łać. Być może każdy przyszły kapłan tak jak św. Paweł jest aposto-
łem wybranym jeszcze w łonie swojej matki i powołanym Jego łaską
(Ga 1,15). Święty papież Jan XXIII był dla mojego pokolenia przeko-
nującym ucieleśnieniem następcy św. Piotra, który rozpoznał znaki
czasu i pokornie oraz pewnie wskazywał drogę Kościołowi.

Nie mógłbym jednak powiedzieć, że papież był postacią, z którą
identyfikuję moje powołanie kapłańskie. Decydujący są bezpośred-
nio duszpasterze z przykładem ich duchowych przeżyć i apostołskie-
go zapału. Trzeba być ostrożnym w ocenie jakiegoś pontyfikatu je-
dyńie według kryterium rosnących albo spadających liczb nowych
powołań. Decydująca jest pogładowa bliskość do chrześcijańskiego

i kapłańskiego życia. Rodzina i wspólnota parafialna, a w bardzo szczególny sposób ksiądz, są tymi, dzięki którym umacnia się doświadczenie powołania, a potem przekłada się na osobistą pozytywną odpowiedź na wezwanie Chrystusa. Jednak dopiero w sakramencie święceń poprzez nałożenie rąk i konsekrację przez biskupa zostaje się rzeczywiście kapłanem, pasterzem i nauczycielem w Kościele Boga. Ale to, co zostało komuś obiektywnie powierzone, musi się dopiero subiektywnie zweryfikować w życiu. Mogę z własnego doświadczenia z wdzięcznością zaświadczyć to, o czym mówi Sobór Watykański II w Dekrecie o formacji kapłańskiej: „Obowiązek budzenia powołań ciąży na całej społeczności chrześcijańskiej, która winna spełniać go przede wszystkim przez życie w pełni chrześcijańskie. Najwięcej przysługi oddają w tym rodziny, które jeśli ożywione są duchem wiary, miłości i pobożności, stają się jakby pierwszym seminarium, podobnie też parafie, gdzie w bujnym życiu religijnym uczestniczą młodzieńcy. Nauczyciele i wszyscy ci, którzy w jakikolwiek sposób zajmują się wychowaniem dzieci i młodzieży, zwłaszcza stowarzyszenia katolickie, niech starają się tak urabiać powierzonych sobie młodzieńców, aby mogli oni uświadomić sobie powołanie Boże oraz chętnie za nim podążać. Wszyscy kapłani niech okazują jak największą gorliwość apostołską w budzeniu powołań, a życiem swoim pokornym, pracowitym, w radości ducha prowadzonym, jako też wzajemną miłość kapłańską i współpracą braterską niech pociągają umysły młodzieńców do kapłaństwa” (DFK 2).

Chętnie wspominam w tym miejscu rozmowy, które prowadziłem z pewnym ewangelickim studentem teologii, który wynajął pokój w naszym domu, niedaleko Uniwersytetu Mogunckiego, i przygotowywał się, by zostać pastorem ewangelickim. Oczywiście poruszaliśmy także kontrowersyjne kwestie, które szczególnie potęgowały się w rozumieniu Kościoła, sakramentów, sakramentalnego kapłaństwa i relacji do Pisma Świętego, Tradycji apostołskiej i Urzędu Nauczycielskiego. Był on pod niemałym wrażeniem zainteresowań religijnych wówczas mniej więcej 17-, 18-letniego ucznia. Mówiliśmy o różnicach w pojmowaniu grzechu pierwotnego i o tym, czy natura człowieka została całkowicie zepsuta, a może

tylko zraniona, czym jest usprawiedliwienie grzesznika i jak się dokonuje. Dochodziły do tego także pytania protestanckich zasad formalnych i moralnych *sola scriptura*, *sola gratia*, *sola fide* i *solus Christus* albo też, czy po katolicku nie należałoby mówić: Pismo i Tradycja, łaska i natura, wiara i dobre czyny, a wreszcie Chrystus i Kościół. Kiedy wspominam lekcje religii w szkole, katechezę sakramentalną i przekaz wiary w kazaniach i konferencjach, to z perspektywy czasu jestem zdumiony, jaki stan wiedzy i jaką zdolność wydawania osądu można już bardzo wcześnie przekazać ludzkiemu duchowi. Jeśli tylko już w dzieciństwie i w wieku młodzieńczym otrzyma właściwy pokarm.

Kiedy przypominam sobie dziecięcą Biblię ze szkoły podstawowej i Biblię szkolną dla gimnazjum, jest to zdumiewające, z jaką znajomością Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu można było jako abiturient przejść do studium teologii. Posiadaliśmy także systematyczną wiedzę na temat wiary dotyczącą wszystkich głównych kwestii Boga, chrystologii i rozumienia Kościoła, jak też najistotniejszych misterii Objawienia, wraz z zarzutami krytyki religii i podstawowymi kwestiami filozoficznymi oraz zadrażnieniami w odniesieniu do obrazu świata nauk przyrodniczych i historycznych.

Rzut oka na dwustustronicowy podręcznik *Der katholische Glaube. Gott-Christus-Kirche*¹⁴ jeszcze pół wieku później wprawia mnie w zdumienie, jak głęboka świadomość problematyki nurtowała nas wtedy jako przyszłych abiturientów. Mój okres gimnazjalny obejmował lata 1958–1967. Do podstawowego kanonu wiedzy należały wtedy zarówno problematyka teodycei Gottfrieda Wilhelma Leibniza (1646–1716) oraz spór o łaskę tomistów i molinistów na temat stosunku łaski i wolności, jak i przypowieść o pierścieniu w *Natanie mędrca* Lessinga i teoria projekcji w *O istocie chrześcijaństwa* Feuerbacha (1841), a także zredukowanie biblijnego przekazu Chrystusa do produktywnej fantazji „nieumyślnie stworzonej poetyckiej sagi” u Davida Friedricha Straussa w *Das Leben Jesu, kritisch bearbeitet* (1835/36). Znana była również teza o wspólnocie, która w wyniku

¹⁴ München ⁵1962.

ewolucji swojej świadomości wiary człowieka Jezusa uczyniła Bogiem, autorstwa Ernesta Renana (1823–1892).

Naszemu ewangelickiemu studentowi teologii zawdzięczałem pierwsze intelektualne spotkanie z protestanckim chrześcijaństwem na tym poziomie. Później doszła do tego oczywiście konfrontacja z początkiem, historią i wielkimi przedstawicielami wiary chrześcijańskiej o nastawieniu reformacyjnym. W końcu doktryna o sakramentach w Bonhoefferowskim ujęciu „bez-religijnego” chrześcijaństwa była także tematem mojej pracy doktorskiej (1977). Habilitowałem się w dziedzinie dogmatyki i historii dogmatów na temat wspólnoty i kultu świętych, stąd uznano mnie potem już jako członka Niemieckiej Konferencji Episkopatu za kompetentnego, aby przewodniczyć komisji ekumenicznej Episkopatu Niemiec i katolicko-ewangelickiej grupie roboczej ds. wzajemnych kontaktów w Niemczech, jak również prowadzić delegację Konferencji Episkopatu Niemiec przy Rosyjskim Kościele Prawosławnym.

W mojej pamięci pozostaje jednak owo spotkanie ze studentem teologii ewangelickiej, który z pewnością został potem dobrym pastorem, ponieważ zafascynowała mnie chrystocentryczność ewangelickiej teologii i pobożności. Ówczesnie jeszcze rozpowszechniona polemika międzywyznaniowa, która zamierzała udowodnić wyższość własnej religii przez dyskredytację przeciwnej strony, stała się dla mnie podejrzana, z powodu spotkań z ewangelickimi chrześcijanami, którzy na serio żyli swoją wiarą. Jako uczeń i student regularnie słuchałem w ewangelickim kościele Chrystusa i kościele św. Jana w Moguncji Jana Sebastiana Bacha, „piątego Ewangelisty” (Nathan Söderblom), *Oratorium Bożonarodzeniowe* oraz *Pasję* wg św. Mateusza i św. Jana, które uważane są za „muzykalny wyraz” teologii i duchowości reformacyjnej. Reformacyjny ideał *Soli Deo gloria*, który kompozytor umieszczał w tytule wielu swoich dzieł, wydawał mi się już wtedy niezbyt odległy od myśli przewodniej św. Ignacego Loyoli, założyciela jezuitów: *omnia ad Dei maiorem gloriam*. Przeczytana przeze mnie wiele lat później książka Friedricha Richtera, proboszcza, który przeszedł na katolicyzm, *Martin Luther und Ignatius von Loyola. Repräsentanten zweier Geisteswelten* (Stuttgart 1954), utwierdziła mnie

w tym młodzieńczym wrażeniu, że poprzez takie konsekwentnie teocentryczne pojmowanie chrześcijaństwa można przygotować drogę do jedności wszystkich chrześcijan.

Doświadczyłem tego także w rodzinach ewangelickich krewnych, w które wżeniły się moje obydwie siostry. Teściowie mojej siostry Hildegardy (1937–2000) byli głęboko wierzącymi ewangelickimi chrześcijanami, którzy wywarli na mnie głębokie wrażenie swoją autentycznie przenikniętą duchem reformacyjnym pobożnością. Kwestia wychowania religijnego dzieci w małżeństwach konfesyjnie mieszanym aż do końca lat 50. była jeszcze bardzo bolesnym doświadczeniem, zwłaszcza w takich rodzinach, które bardzo serio traktowały swoją wiarę. Z tego, co wtedy zrozumiałem, wnioskiem końcowym nie było stwierdzenie, że skandal podziału łagodzi obojętność religijna, ale że tylko droga do pełnej wspólnoty w jednym Kościele Chrystusa może uzdrowić rany podziału Kościoła. Jedność wiary w trójjedynego Boga, który przez całą historię zbawienia daje świadectwo miłości do nas i spełnia ją w Jezusie Chrystusie, swoim Synu, jedność Kościoła płynąca z sakramentu chrztu św., modlitwy, wiary, nadziei i miłości – wszystkie te wewnętrzne i widzialne elementy konstytutywne bycia chrześcijaninem i Kościołem można było rozpoznać w tych rozmowach. Ukazywała się też nienaturalność podziału chrześcijan, którzy przecież w Chrystusie ze względu na wyznanie wiary i chrzest już u samego korzenia są zjednoczeni. Później uderzyło mnie to, że w tym samym czasie Sobór Watykański II w Dekrecie o ekumenizmie (21 listopada 1964) wyraził z poziomu Urzędu Nauczycielskiego to, co zostało wówczas wyrażone w naszych dialogach zgodnie z moją młodzieńczą zdolnością pojmowania.

W każdym razie rozmowy te otwały przede mną bramę do ruchu ekumenicznego, aby tak przedstawić także klasyczne kontrowersyjne kwestie, włącznie z urzędem papieża, żeby bez rezygnacji z istoty rzeczy mogły być przynajmniej zrozumiałe także dla niekatolickich chrześcijan i nie wydawały im się być przeciwieństwem ważnych treści ich wiary.

3. Studia teologiczne, doktorat i święcenia kapłańskie

Błogosławiony papież Paweł VI (1963–1978)

O ile Jan XXIII to papież mojej wczesnej młodości, o tyle jego następca był mi jako uczniowi, studentowi teologii i doktorantowi dobrze znany i wciąż pozostaje żywo w mojej pamięci poprzez swoją nauczycielską i reformatorską działalność w Kościele. Uczestniczyłem żywo w dyskusjach soborowych, oczywiście za pośrednictwem relacji prasowych i wykładów, albo też dyskusji w ramach lekcji religii.

W czasie jego pontyfikatu 10 października 1967 roku wstąpiłem do szczytującego się bogatą tradycją mogunckiego seminarium duchownego. Wystarczy tylko wspomnieć Romano Guardiniego (1885–1968), jednego z najbardziej znanych jego alumnów. Nie była to tylko ogólnie przyjęta formułka, ale moje pełne przekonanie, że napisałem w liście do ówczesnego rektora, czcigodnego biskupa pomocniczego Josefa Marii Reussa (1906–1985), który kilka lat wcześniej udzielił mi także sakramentu bierzmowania: „Po dokładnym rozważeniu jestem przekonany, że Jezus, najwyższy Kapłan Nowego Przymierza, powołał mnie, abym jako kapłan służył w Jego Kościele”.

Jest rzeczą oczywistą, że katolickiego kapłaństwa nie pojmowałem w zeświecczonym rozumieniu i nie sprowadzałem roli kapłana do pewnego rodzaju funkcjonariusza religijno-społecznego stowarzyszenia, jak to zostało szeroko rozpowszechnione wskutek błędnej wykładni soboru, przynosząc szkodę Kościołowi i tożsamości tysięcy księży i alumnów. Dzięki tylu przykładowym kapłanom, których spotkałem w parafii i w szkole, i temu, co aż do tej pory czytałem na ten temat, nie potrzebowałem klecić sobie własnego obrazu księdza ani też pozwolić na to, by klasyczny obraz kapłana zdemontowany został przez samozwańczych progresywnych teologów.

Najlepszą orientację daje aż po dziś dzień Sobór Watykański II w swoim Dekrecie o posłudze i życiu prezbiterów: „[Prezbiterzy] przez święcenia i misję, otrzymywaną od biskupów, zostają wyniesieni do służenia Chrystusowi Nauczycielowi, Kapłanowi i Królowi,

uczestnicząc w Jego posłudze, dzięki której Kościół, tutaj, na ziemi, nieustannie rośnie jako Lud Boży, Ciało Chrystusa i Świątynia Ducha Świętego” (DKP 1).

Argument przejmowany bezkrytycznie od reformacyjnej i liberalnej teologii przeciwko rzekomej, spowodowanej przez Sobór Trydencki, niebiblijnej dominacji księżowskiej i klerykałizacji urzędu duchownego oraz ontologizacji sakramentalnego charakteru i kultycznego zawężenia katolickiego kapłaństwa brzmiał: sam Jezus był człowiekiem „świeckim”, ponieważ nie należał do świątynnego kapłaństwa. Apostołowie w Piśmie Świętym nigdy nie zostali określani jako „kapłani”, w przeciwieństwie do „wspólnego kapłaństwa”, tzn. do scharakteryzowania Kościoła jako kapłańskiego i królewskiego Ludu Bożego (1 P 2,5.9; Ap 1,6). W konsekwencji, jeśli uwzględnić wyjaśnienia Listu do Hebrajczyków, kapłaństwo sakramentalne stoi w sprzeczności do kategoriycznego zniesienia wszelkich form przedchrześcijańskiego kapłaństwa z powodu jedynego najwyższego kapłaństwa Jezusa Chrystusa. Jednak tutaj w grę wchodzi jedynie wieloznaczność pojęć. A wielu naiwnych pozwoliło się wyprowadzić na manowce. Bo wiem Chrystus oczywiście nie był „kapłanem” w sensie kapłaństwa lewickiego, a już na pewno nie „sługą kultu ofiarniczego” w sensie pogańskim. Podstawą dla najwyższego kapłaństwa i dla jedynego pośrednictwa zbawczego Chrystusa w Nowym Przymierzu z poświęceniem na ofiarę Jego życia (Hbr 9,11–14), które jedna grzeszników z Bogiem (2 Kor 5,19), jest Jego Synostwo Boże. Jako Bóg mógł (!) On nas pojednać ze sobą i jako człowiek mógł (!) On pojednać nas ze sobą. Przez to mocą swojej boskiej natury jest On naszym Odkupicielem. A za pośrednictwem swojej ludzkiej natury sprawił tę nową i wieczną wspólnotę życia z Bogiem (1 Tm 2,4n).

Przez święcenia i posłannictwo apostołowie i ich następcy, biskupi ze swoimi prezbiterami (księżmi), uczestniczą w zbawczym działaniu Chrystusa przez to, że uświęcają, prowadzą i nauczają lud Boży. „Urząd prezbiterów, jako związany z biskupstwem, uczestniczy we władzy, mocą której sam Chrystus Ciało swoje buduje, uświęca i rządzi. Dlatego też kapłaństwo prezbiterów zakłada wprowadzenie sakramenty chrześcijańskiego wtajemniczenia, zostaje jednak udzielone

przez ten specjalny sakrament, mocą którego prezbiterzy dzięki namaszczeniu Ducha Świętego zostają naznaczeni szczególnym znamieniem i tak upodobniają się do Chrystusa Kapłana, aby mogli działać w zastępstwie Chrystusa Głowy” (DKP 2).

Jedność i rozróżnienie wspólnego kapłaństwa wszystkich ochrzczonych (1 P 2,5.9) oraz kapłaństwa święceń pasterzy Kościoła pod przewodnictwem Chrystusa, najwyższego Pasterza i Biskupa (1 P 2,25; 5,4), i zwierzchnika w słowie i nauczaniu (1 Tm 5,17.22), na ile uczestniczą w kapłaństwie Chrystusa, ale w istotowy różny sposób (por. KK 10), trafnie i zwięźle ujmuje św. Tomasz w odniesieniu do sprawowania i uczestnictwa w Eucharystii: „Sakrament ten posiada tak wielką godność, że może być sprawowany tylko w Osobie Chrystusa. To jednak, cokolwiek by to było, co jest uczynione w osobie kogoś innego, musi dokonywać się przez udzielone temu komuś pełnomocnictwo. Jak jednak ochrzczoneму udzielone jest przez Chrystusa pełnomocnictwo, by ten sakrament przyjmować, tak też kapłanowi, gdy zostaje wyświęcony, przekazane zostaje pełnomocnictwo, aby ten sakrament konsekrować w Osobie Chrystusa. [...] Władza sakramentalna spoczywa w wielu rzeczach, a nie tylko jednej. [...] Dlatego też władza konsekrowania spoczywa nie tylko w samych tylko słowach, ale także w pełnomocnictwie, które zostaje przekazane kapłanowi przy jego konsekracji i ordynacji (ustanowieniu). [...] Sprawiedliwy człowiek świecki jest zjednoczony z Chrystusem w duchowym połączeniu przez wiarę i miłość, ale nie przez sakramentalne pełnomocnictwo”¹⁵.

W studium i nauczaniu teologii uchwalonych za pontyfikatu papieża Pawła VI 16 dokumentów Soboru Watykańskiego II to były i są pierwszorzędną świadectwa kościelnej świadomości wiary w przenikniętym naukami przyrodniczymi i techniką współczesnym świecie. Należy je odczytywać w kontekście dziejowych wyzwań duchowych i kulturowych chrześcijańskiej wiary i życia. Niezrozumienie, z jakim spotkał się ze strony skrajnie konserwatywnych i progresywnych grup, aż do złośliwych szyderstw z powodu docenionej dopiero

¹⁵ TOMASZ Z AKWINU, *S.th.* III q. 82 a. 1.

dzisiaj jako profetycznej encykliki *Humanae vitae* (1968) przysporzyło wiele bólu Pawłowi VI. Niektórzy obarczali sobór odpowiedzialnością za kryzys wiary, który po soborze rzucał się w oczy każdemu, podczas gdy inni uważali, że reformy soborowe nie zostały dostatecznie radykalnie wprowadzone w życie. W rzeczywistości przyczyną podziału ludzi Kościoła na soborowych sceptyków i entuzjastów była właśnie ideologiczna interpretacja soboru. Zamiast spodziewanej z nadzieją zielonoświątkowej odnowy Kościoła nastąpił babiloński zamęt.

Interpretacja dokumentów soboru wynika z Objawienia, które w Jezusie Chrystusie i świadectwie apostołów zostało przekazane raz na zawsze i jest wiernie strzeżone przez Urząd Nauczycielski biskupów wraz z papieżem i pod jego przewodnictwem. „Objawienie to, na piśmie lub drogą Tradycji podane, przekazywane jest w całości dzięki prawowitej sukcesji biskupiej, a przede wszystkim staraniem samego biskupa rzymskiego, i dzięki światłu ducha prawdy jest święcie strzeżone w Kościele i wiernie wykładane. [...] żadnego natomiast nowego objawienia publicznego, które by należało do boskiego depozytu wiary (*divinum fidei depositum*), nie otrzymują” (KK 25).

Oczekiwanie lub obawa, że sobór ekumeniczny spowoduje zerwanie z tradycją, jest nie tylko heretyckie jako pojedyncza kwestia, ale wyrzuciłoby do góry nogami całe nadprzyrodzone Objawienie i jego historyczne przekazywanie za pośrednictwem Kościoła. Może istnieć tylko „hermeneutyka reformy i ciągłości” (Benedykt XVI), w przeciwnym razie Kościół sam by się zsekularyzował i rozwiązał. Odpada bowiem powód, aby należeć do jakiegoś związku promującego ideologię, które swoje nędzne i aroganckie myślenie maskują Duchem Świętym. Urząd Nauczycielski, a więc także sobór ekumeniczny, nie może założyć nowego Kościoła ani też znieść starego. Hermeneutyka ciągłości, w odróżnieniu do hermeneutyki rozłamu, nie zaczyna od zewnątrz, tak że obserwator mógłby zredukować dane treści do swojego formalnego punktu widzenia. Hermeneutyka reformy i ciągłości jest niczym innym jak hermeneutyką wiary z jej materialną zawartością i formalnym autorytetem nauczycielskim Kościoła. W tej samej nadprzyrodzonej wierze, wraz z którą przyjmuje się Objawienie, zostaje ona także w świadomości wiary Kościoła mocą Ducha

Świętego wyłożona. Jednakże Kościół ma swoją podstawę w Objawieniu, a nie w Urzędzie Nauczycielskim, który – sam będąc częścią działania zbawczego Chrystusa – jest odpowiedzialny jedynie za jego wierną wykładnię i przechowanie. To nie aprioryczne mentalne lub psychologiczne opowiedzenie się za konserwatywną albo progresywną ideologią, ale wiara w samoobjawienie się Boga jako prawdę i łaskę zapewnia adekwatny hermeneutyczny klucz do zrozumienia Pisma i Tradycji, jak również definicji Urzędu Nauczycielskiego w zakresie wiary i moralności. „Posłuszeństwo wiary” (por. Rz 16,26; por. Rz 1,5; 2 Kor 10,5–6), przez które człowiek z wolnej woli cały powierza się Bogu, okazując „pełną uległość rozumu i woli wobec Boga objawiającego” i dobrowolnie uznając objawienie przez Niego dane” (KO 5), odróżnia się niczym niebo od piekła od jakiegokolwiek ideologii pojętej jako roszczenie do panowania nad poszukiwaniem prawdy i nad sumieniem moralnym człowieka.

Spośród adhortacji apostolskich papieża Pawła VI szczególnie wrażenie na mnie zrobiła *Evangelii nuntiandi*, podczas gdy z encyklik mam żywo w pamięci *Ecclesiam suam* (1964) o drodze Kościoła w obecnych czasach, *Mysterium fidei* (1965) o Eucharystii jako centrum Kościoła, a ponadto także *Populorum progressio* (1967) oraz mocno dyskutowaną w pierwszych latach mojego okresu seminaryjnego encyklikę *Sacerdotalis caelibatus* (1967).

Pamięć o Pawle VI jest o tyle związana z moją drogą życiową, iż w 1977 roku mogłem zamknąć pracę doktorską na temat: *Kościół i sakramenty w bezreligijnym chrześcijaństwie Dietricha Bonhoeffera* we Fryburgu Bryzgowijskim u profesora Karla Lehmana. 11 lutego 1978 roku, w roku śmierci tego beatyfikowanego papieża, we wspomnienie Matki Bożej z Lourdes, przez nałożenie rąk mojego biskupa, uczonego kardynała Hermanna Volka (1903–1988), przyjąłem w Moguncji święcenia kapłańskie. W obozie namiotowym wraz ze 120 młodymi ludźmi z mojej pierwszej parafii św. Mikołaja w Klein-Krotzenburgu w diecezji mogunckiej dowiedzieliśmy się 6 sierpnia o odejściu papieża do wieczności. Rok 1978 miał wejść do historii Kościoła jako rok trzech papieży. W czasach Pawła VI studiowałem teologię i doktoryzowałem się u Karla Lehmana we Fryburgu. Jestem

zobowiązany do ogromnej wdzięczności dla wszystkich moich nauczycieli akademickich, ponieważ naukowa teologia jest i pozostanie podstawą wszelkiej owocnej działalności w przepowiadaniu i duszpasterstwie. W zastępstwie wszystkich profesorów, którzy podczas moich studiów mnie wspierali albo których dzieła wpłynęły na kształtowanie moich myśli, chciałbym w tym miejscu docenić mojego najważniejszego nauczyciela akademickiego. To jemu z okazji 80 rocznicy urodzin, 16 maja 2016 roku, postawiłem mały pomnik w Mainzer Allgemeine Zeitung.

Karl kardynał Lehmann jako nauczyciel akademicki

Uczcić kardynała Karla Lehmana z okazji jego 80 urodzin znacząłoby w Moguncji coś podobnego, jak przenieść wodę do Renu. Czego spodziewamy się, kiedy jeden kardynał śpiewa hymn pochwalny na cześć innego? Jednak być może nadarza się teraz dobra okazja, aby zwrócić uwagę na pewien mniej znany aspekt dzieła jego życia. Nadszedł czas, aby publicznie podziękowali mu także ci, których promował naukowo. Profesor dr Karl Lehmann w latach 1968–1983, najpierw w Moguncji, a potem we Fryburgu, kierował Katedrą Dogmatyki, Historii Dogmatów i Teologii Ekumenicznej. Jego znaczenie dla Kościoła i społeczeństwa nie opiera się tylko na jego popularności, ale także na wielkich osiągnięciach jako biskupa dla diecezji mogunckiej i niezwykłego zaangażowania jako kardynała dla Kościoła powszechnego. By wymienić tylko niektóre punkty, uczestniczył on jeszcze jako profesor teologii we Fryburgu w pracach renomowanej Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie. Karl Lehmann był w dużej mierze współodpowiedzialny za powstanie wtedy bardzo pogłębionego studium na temat żywo wówczas dyskutowanej „teologii wyzwolenia”. Jako biskup i kardynał przez długi czas był członkiem Kongregacji Nauki Wiary, która służy papieżowi radą i wspiera go w pełnieniu jego powszechnego Urzędu Nauczycielskiego i pasterskiego.

Zapewne jeszcze mniej znane jest w szerszych kręgach jego niesamowite zaangażowanie na rzecz swoich studentów, którzy pisali u niego swoje prace dyplomowe, doktorskie czy habilitacyjne.

Te trzy etapy zyskiwania stopni naukowych po ukończeniu studiów można by porównać mniej więcej z kształceniem zawodowym, które kończy się egzaminem uczniowskim, a potem, przez uzyskanie kolejno tytułu czeladnika i mistrza, prowadzi za każdym razem do wyższych kwalifikacji.

Profesor teologii na uniwersytecie zobowiązany jest prowadzić wykłady i seminaria dla studiujących. Do jego zadań należy jednak także wskazywanie tematów prac dyplomowych, sondowanie szczególnych uzdolnień i potem proponowanie niektórym tematów pracy doktorskiej. Tych, którzy już się doktoryzowali, może on po spełnieniu określonych wymogów zachęcać, aby napisali pracę habilitacyjną, a przez to nabyli uprawnienia, aby jako wykładowcy i profesorem nauczali i prowadzili badania naukowe na wyższej uczelni lub uniwersytecie.

Profesor Karl Lehmann miał zawsze baczne spojrzenie na osoby o zainteresowaniach naukowych. Aby można było przedłożyć w XX semestrze swoją pracę dyplomową, trzeba było od VII semestru rozglądać się za tematem, przedmiotem i odpowiednim profesorem, który będzie krytycznie i konstruktywnie towarzyszył przy jej powstawaniu. Kiedy młody profesor Lehmann objął w 1968 roku, mając zaledwie 32 lata, Katedrę Dogmatyki, tzn. „teologii systematycznej”, w odróżnieniu od biblijnych i historycznych dyscyplin teologicznych, napłynęło do niego, aby słuchać jego wykładów, wielu studentów, także z młodszych semestrów, którzy zgodnie z planem studiów nie musieli jeszcze studiować dogmatyki. Również ja należałem do tego grona. My, młodzi studenci, byliśmy zafascynowani jego ogromnym odczytaniem w teologii, ale także w filozofii, oraz jego biblijną argumentacją doktryny wiary. Zarówno styl, jak i metoda były całkowicie nowe. Razem z jego wielkim nauczycielem Karlem Rahnerem SJ (1904–1984) rozpoczynali swoje refleksje od pytań zadawanych przez człowieka, które potem były dyskutowane w świetle Objawienia. W taki sam sposób również Sobór Watykański II nadał zwrot teologii, a mianowicie polecał wychodzić od człowieka, aby go prowadzić do Boga. W epoce zsekularyzowanego myślenia, kryzysu wiary nie można wychodzić po prostu z faktu Objawienia. Teologia

zamiast tego musi najpierw zakładać człowieka z jego pytaniami i wątpliwościami, a dopiero potem podprowadzić go do tematyki Boga. Tak mówi o tym Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym: „Mimo to wobec dzisiejszej ewolucji świata z każdym dniem coraz liczniejsi stają się ci, którzy bądź stawiają zagadnienia jak najbardziej podstawowe, bądź to z nową wnikliwością rozważają: czym jest człowiek; jaki jest sens cierpienia, zła, śmierci, które istnieją nadal, choć dokonał się tak wielki postęp? Na cóż te zwycięstwa tak wielką okupione ceną; co może człowiek dać społeczeństwu, a czego się od niego spodziewać; co nastąpi po tym życiu ziemskim? Kościół zaś wierzy, że Chrystus, który za wszystkich umarł i zmartwychwstał, może człowiekowi przez Ducha swego udzielić światła i sił, aby zdolny był odpowiedzieć najwyższemu swemu powołaniu” (KDK 10).

Kto starannie przestudiuje publikacje Karla Lehmana, ten dostrzeże niezwykle szerokość jego zainteresowań, ale także skoncentrowane przyporządkowanie ich do fundamentalnych filozoficznych i teologicznych pytań ludzkiej egzystencji. Nie znam właściwie żadnych uczonych, którzy podobnie jak on potrafiliby się precyzyjnie wdrożyć w całkiem inne dziedziny naukowe i w interdyscyplinarnym dialogu jasno sformułować powiązanie tematyczne.

W trakcie wykładu na temat: *Pokuta i spowiedź* prof. Lehmann zaczął mówić także o ewangelickim teologu Dietrichu Bonhoefferze (1906–1945), który jako bojownik ruchu oporu przeciwko reżimowi nazistowskiemu został stracony na rozkaz Hitlera jeszcze w ostatnich dniach wojny. Bonhoeffer budził zainteresowanie, ponieważ w swoich czasach przypisywał spowiedzi w duszpasterstwie ewangelickim podobnie wielkie znaczenie, jak dziś czyni to papież Franciszek, kiedy stale podkreśla związek Bożego Miłosierdzia i ludzkiego doświadczenia grzechu z możliwością pojednania z Bogiem i Kościołem. Bonhoeffer podczas swojego pobytu w Rzymie w 1924 roku był pod wielkim wrażeniem długich kolejek ludzi stojących przed konfesjonalami w bazylice św. Piotra. Zrozumiał wtedy, że obok kazania, które może być skierowane jedynie do ogółu, potrzeba także indywidualnego duszpasterstwa w spowiedzi i osobistej rozmowie – ówczesnie w chrześcijaństwie ewangelickim była to myśl rewolucyjna,

a dziś, niestety, także w obszarze katolickim jest niemal zupełnie zapomniana. Kiedy w czasach wykluczania i prześladowania chrześcijan podczas reżimu nazistowskiego prowadził on potajemnie seminarium kaznodziejskie dla Kościoła Wyznającego, intensywnie zajął się od strony biblijnej, teologicznej i pastoralnej związkiem spowiedzi i Ostatniej Wieczerzy.

Profesor Lehmann zapytał obecnych na wykładzie studentów, kto interesuje się teologią ewangelicką, i zaproponował, że osoba taka powinna w swojej pracy dyplomowej rozważyć temat: *Bonhoeffer i spowiedź*. Zgłosiłem się wtedy i mogłem później także u Karla Lehmana we Fryburgu przedłożyć obszerną pracę doktorską na temat Bonhoeffera. Nie tylko w moim przypadku – wiem to również od wielu innych osób – sporo uwagi poświęcił pierwszym szkicom i projektom przyszłych prac. Podziw budziło zawsze również i to, z jaką znajomością szczegółów umiał on dla pogłębienia polecić z pamięci bardzo rozległą literaturę fachową. W niemalym kręgu jego doktorantów i habilitantów zyskał on potwierdzoną reputację jednego z najlepszych naukowych promotorów. Jego dewizą było: „Nigdy nie mówić, nie pisać, nie osądzać czegoś, bez uprzedniego uzyskania odpowiedniej świadomości problemu, aby w żadnym wypadku nie przekroczyć standardów dyskusji naukowej”. Abstrahując od bardzo zróżnicowanych tematów prac doktorskich z teologii czy habilitacji w jego grupie o specjalności „dogmatyka, historia dogmatów i teologia ekumeniczna”, wszystkich jego akademickich uczniów wiąże ta sama metoda naukowa: wypracowanie adekwatnej świadomości problemu jako niezbędny wstępny warunek tezy.

Za naukową część w jego wybitnym dziele życia oraz staranną i pełną zaangażowania opiekę nad pracami kwalifikacyjnymi chciałbym w imieniu wszystkich uczennic i uczniów naszego dawnego nauczyciela teologii, biskupa Moguncji, kardynała Karla Lehmana wypowiedzieć serdeczne „Bóg zapłać”. Spuścizną profesorów są nie tylko ich pisane dzieła, ale także wysiłek, jaki włożyli w nauczanie swoich uczniów. W tym duchu chciałbym serdecznie polecić obecnym nauczycielkom i nauczycielom akademickim naszego urodzinnego jubilata jako przykład opieki promotorskiej prac naukowych.

Papież Jan Paweł I (1978)

Jego trwający zaledwie trzydzieści trzy dni pontyfikat nie był tylko epizodem. W epoce telewizji było mu łatwo przy pomocy swojego uśmiechu otworzyć serca wielu milionów ludzi. Zniósł wiele zwyczajów mającego anachroniczne znamiona ceremoniału dworskiego. Poprzez niezwykle podwójne imię chciał płynnie nawiązać do swoich obydwu poprzedników i zapobiec nowej przykrej skłonności – poróżnić papieży według ich ideologicznych upodobań. Jego listy *Illustrissimi*, adresowane do znanych osobistości, w tym nawet do Pinokia, szybko stały się znane we wszystkich kręgach katolickich. Zaś to, że o Bogu mówił raz jako o Ojcu, a raz jako o Matce, było nie tyle ukłonem w stronę feminizmu, ile raczej zwróceniem uwagi na biblijne nauczanie o Miłosierdziu Boga, który nas kocha niczym matka tuląca do serca i pieszcząca swoje dziecko.

Kiedy 29 września 1978 roku odprawiałem Mszę św. w kościele parafialnym, ktoś położył mi na ołtarzu karteczkę z wiadomością, że Jan Paweł I zmarł. Nie mogłem w to uwierzyć i uważałem, że coś zostało błędnie zapisane. Dopiero później mogłem się przekonać o prawdziwości tej przerażającej informacji. Wielu ludzi wewnątrz Kościoła i poza nim było wstrząśniętych nagłą śmiercią dobrego pasterza, z którym już od razu po jego wyborze wiązali tak wiele nadziei.

Il sorriso di Dio, jego Boży uśmiech pozostaje testamentem dla Kościoła, który powinien radośnie i z uśmiechem przepowiadać „ukazanie się dobroci i miłości Zbawiciela, naszego Boga, do ludzi” (Tt 3,4).

4. Wikariusz, profesor, biskup

Święty papież Jan Paweł II (1978–2005)

Po czterech latach posługiwania jako wikariusz w duszpasterstwie parafialnym mojej rodzinnej diecezji mogunckiej zostałem wysłany do Fryburga, do profesora Karla Lehmana, aby ukończyć moją pracę habilitacyjną, którą opublikowałem pod tytułem: *Wspólnota i kult świętych* (1986).

W tym czasie regularnie i chętnie angażowałem się do pomocy w parafii mojego zamieszkania, św. Błażeja w Zähringen, podobnie jak później, podczas mojej działalności dydaktycznej na Uniwersytecie Ludwika-Maksymiliana przez 16 lat codziennie pomagałem w monachijskiej parafii pod wezwaniem Cierpień Chrystusa. Jedność teologii i posługi duszpasterskiej, myślenia i modlitwy była dla mnie bardzo istotna i wynikała nie tylko z osobistego zainteresowania, ale również z tego, że świat wiary nie dzieli się na wymiar teoretyczny i praktyczny. Chrystus w swojej Osobie jest równocześnie i nierozdzielnie prawdą i życiem. Profesor dogmatyki ma za zadanie prowadzić wykłady i seminaria dla studentów oraz asystować piszącym prace doktorskie i habilitacyjne. Teologia jest nauką o wyznawaniu wiary chrześcijańskiej i jej praktykowaniu. Centralne tematy teologii systematycznej omawiane są w tak zwanych traktatach: poznanie teologiczne, antropologia teologiczna, nauka o stworzeniu, chrystologia i soteriologia, pneumatologia i charytologia, nauka o Bogu Jedynym i o Trójcy Świętej, eklezjologia, sakramentologia, mariologia i eschatologia. Owocem mojej działalności jako wykładowcy był podręcznik: *Dogmatyka katolicka. Dla studium i praktyki teologii*¹⁶. Praca na wydziale teologicznym pozwala spełnić się duchowo, ale stanowi też wyzwanie pastoralne, jeśli studentów i doktorantów postrzega się jako młodych ludzi, którym warto poświęcić osobistą uwagę w ich poszukiwaniu pracy czy ukierunkowaniu intelektualnym.

Na okres pontyfikatu jednego z najbardziej znaczących papieży ostatnich stuleci przypadła większa część mojej dotychczasowej działalności jako wikariusza, nauczyciela religii i profesora uniwersytetu. 1 października 2002 roku zostałem przez Jana Pawła II mianowany biskupem Ratyzbony i w uroczystość Chrystusa Króla wyświęcony przez kardynała Friedricha Wetterera, arcybiskupa Monachium i Fryzyngii (1982–2007). Współkonsekratorami byli kardynał Karl Lehmann, mój poprzednik na stolicy św. Wolfganga biskup Manfred Müller (1926–2005) oraz biskup pomocniczy Vinzenz Guggenberger

¹⁶ Freiburg 1995; ¹⁰2016; wyd. pol. Kraków 2015.